W NUMERZE: Początek cyklu publicystycznego z okazji 60-lecia niepodległości ■ Jubileusz Szkoły Filmowej: rozmowa z rektorem St. Kuszewskim i wspomnienia W. Berestowskiego ■ Reportaż z pułku lotniczego ■ Reymont widziany z bliska – przed odsłonięciem pomnika pisarza w Łodzi ■ III Triennale Tkaniny ■ Proza E. Kopczyńskiego i L. Płażewskiego oraz wiersze M. M. Szargana ■ Recenzje – Felietony – Polemiki

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 43 (1089) ROK XXI 22 PAŹDZIERNIKA 1978 R. CENA 3 ZŁ

Fot: W. Małek

NA ZDJĘCIU: *I sekretarz KŁ PZPR tow. Bolesław Koperski w pracowni Wacława Wołosewicza przy modelu pomnika Reymonta.*

POMNIK WŁADYSŁAWA REYMONTA

Choć w przyszłym roku minie 55 lat od daty otrzymania przez Władysława Reymonta Nagrody Nobla, nie ma — jak dotąd — w Polsce pomnika tego wielkiego pisarza. Jest tylko maleńkie muzeum biograficzne Reymonta w Kołaczkowie w Wielkopolsce.

W tym roku piękny — godny tego pisarza — pomnik dłuta Wacława Wołosewicza otrzymuje Łódź — miasto, którego trudne dzieje unieśmiertelnił Reymont w „Ziemi obiecanej". Miasto otrzymuje ten pomnik dzięki społecznej inicjatywie łódzkiego rzemiosła.

Dwa lata temu Komitet Organizacyjny Obchodów Jubileuszu 150-lecia Cechu Ślusarzy, powołany przez Zarząd Cechu Rzemiosł Metalowych, podjął uchwałę o budowie w czynie społecznym pomnika Władysława Reymonta. Przy akceptacji i szerokim poparciu tej inicjatywy przez władze partyjne i administracyjne, prace ruszyły szybko naprzód.

Dziś pisze się to łatwo: „prace ruszyły szybko naprzód" — ale ileż trzeba było pokonać trudności i przeszkód najróżniejszego rodzaju — od drobnych, codziennych, po wielkie i pozornie nie do przebycia.

U początku tej pięknej społecznej inicjatywy stało trzech zapaleńców: **Stanisław Wójcik, Edward Skuła i Janusz**

Dalszy ciąg na str. 8

EUGENIUSZ IWANICKI

NASZE LUDOWE

„Samolot jest maszyną, zapewne, ale cóż to za cudowne narzędzie analizy! Narzędzie to pozwoliło nam odkryć prawdziwe oblicze Ziemi. Przez ileż wieków bowiem oszukiwały nas drogi!"

(Antoine de Saint-Exupery)

— Wenus, ja 115, zezwól uruchomić.
— 115, ja Wenus, zezwalam.

Ryk silnika przechodzący w przeciągły grzmot. Trawa porastająca lotnisko przyciska się do ziemi. Z oddali wygląda to, jak smuga pozostawiona przez ścigacz na powierzchni spokojnego jeziora.

— Wenus, ja 115, zezwól wykołować.
— 115, ja Wenus, zezwalam wykołować.

Sylwetka Miga-21 powoli sunie po betonie. Jednakże w wydłużonym kształcie samolotu nie ma nic z ociężałej bryły: podobne jest raczej do strzały, która lada moment śmignie w powietrze.

— Wenus, ja 115, zezwól na start.
— 115, ja Wenus zezwalam na start.

Rozmowa powtarza się wielokrotnie, zmieniają się jedynie kryptonimy startujących kolejno samolotów. Nad szarym betonem pasa startowego unosi się drgający, potężny strumień gorącego powietrza. Wszystko tu zostało obliczone, zsynchronizowane, przewidziane. Nawet najbardziej precyzyjny komputer nie dokona tego, co wykonuje w tej chwili naziemna obsługa lotu i pilot — drobna figurka w potężnym, naddźwiękowym samolocie pościgowym.

Jestem na jednym z naszych lotnisk wojskowych, gdzie ćwiczą swój kunszt bojowy piloci i zespół służby inżynieryjno-lotniczej. W jesiennym nasyconym słońcem powietrzu krzyżują się rozkazy, polecenia, informacje. Jestem tu intruzem, człowiekiem z innego świata i moje cywilne ubranie nie pasuje do mundurów i kombinezonów. Więc siadam i czekam cierpliwie aż wróci z lotu ów tajemniczy 115, o którym dowiedziałem się, że jest jednym z najlepszych pilotów tego lotniczego pułku. Póki co, rozmawiam z ppłk **Kazimierzem Piotrowskim**, starszym inżynierem jednostki (powszechnie mówi się o nim jako o szefie służby inżynieryjno-lotniczej). To on kieruje ogromną sekcją inżynieryjno-techniczną, w skład której wchodzą inżynierowie wszystkich specjalności: eksploatacji, uzbrojenia, osprzętu samolotu, urządzeń radioelektronicznych itp. Do nich należy nadzór nad działalnością eskadr lotniczych. Dziś dyżur nad latającą eskadrą sprawuje zastępca dowódcy do spraw inżynieryjno-lotniczych, kpt inż. **Zbigniew Dondziłło**, bardzo sympatyczny uśmiechnięty wąsal w polowym mundurze. Obok niego pracę zespołu mechaników uzbrojenia kontroluje mjr **Stefan Marcinkowski**.

Każdy lot — to niezwykle skomplikowany zespół czynników od siebie współzależnych i wzajemnie się uzupełniających. Dziesiątki osób zostają zaangażowane tu na ziemi po to, by tam, w górze, pilot posiadał całkowite bezpieczeństwo. Na moje pytanie o tę najważniejszą kwestię, jaką jest zaufanie, wszyscy odpowiadali, że tę sprawę rozumie się samo przez się, że właściwie nie jest ona poruszana, bowiem wypływa z poczucia osobistej odpowiedzialności. Pilot ów tajemniczy 115, szybujący gdzieś z ponaddźwiękową szybkością, nie może dźwigać bagażu niepewności. On po prostu wykonuje nałożone na niego zadanie bojowe.

— 115, ja Wenus, dla ciebie kurs 150, wysokość 17 tysięcy, prędkość 1,6 M.

— Ja 115, zrozumiałem.

Zaczynam się niecierpliwić. Kim jest i jak wygląda ten tajemniczy 115, dla którego tu się znalazłem, zmitrężyłem sporo czasu jadąc na lotnisko, a teraz, gdy w końcu dotarłem na miejsce, zdążył wylecieć.

Relacja przyjaciół i towarzyszy broni:

Nazywa się **JANUARY MURA**, jest podpułkownikiem, pilotem klasy mistrzowskiej. Wspaniały człowiek, dobry kolega. Chcąc prześledzić jego drogę do lotnictwa, trzeba byłoby zajrzeć jeszcze do szkoły podstawowej, kiedy to zajmował się klejeniem modeli latających. Już wówczas wiedział, że zostanie lotnikiem, może nawet najlepszym. Trafił do Technikum Budowy Silników im. K. Świerczewskiego we Wrocławiu. Uczył się dobrze, i nieustannie zasypywał podaniami cywilne jednostki lotnicze, i permanentnie był odrzucany przez komisje lekarskie: za niski. Na szczęście nie uległ kompleksowi małego wzrostu, pogłębiał wiadomości fachowe i czekał. W 1955 roku trafił do wojska, do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Radomiu. Ktoś inny powiedziałby, że w tym momencie nastąpił zwrot w życiu Januarego Mury. Nic bardziej błędnego. Osiągnięcie upragnionego celu było jedynie realizacją jego pasji życiowej. Przecież sklejając modele, czuł się już pilotem.

Dalszy ciąg na str. 5

JUBILEUSZ „FAKTÓW"

W dniach 10 i 11 października tygodnik społeczno-kulturalny FAKTY obchodził swoje dwudziestolecie. Ten popularny i chętnie czytany periodyk ukazuje się w Bydgoszczy, powstał w 1958 r. z fuzji miesięcznika „Pomorze" i pisma ruchu laickiego „Fakty i Myśli". Założycielem nowego czasopisma i od 20 lat jego naczelnym redaktorem jest **JAN GÓREC-ROSIŃSKI**, również znany pisarz i działacz społeczny od wielu lat prezesujący miejscowemu środowisku literackiemu.

Redakcja „Faktów" uczciła swój jubileusz w sposób godny naśladowania, nie ograniczając się tylko do uroczystości „rodzinnej". Pod patronatem Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR zorganizowano w Bydgoszczy interesujące sympozjum poświęcone roli i zadaniom regionalnej prasy społeczno-kulturalnej w Polsce. Zasadniczy referat na powyższy temat wygłosił doc. dr **BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI**, dziekan Studium Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, a o miejscu „Faktów" w panoramie prasy społeczno-kulturalnej mówił redaktor naczelny pisma. Wystąpienia te — zwłaszcza obszerny, bogaty w przemyślenia i wnioski, sytuujący problem w szerokim kontekście polityki kulturalnej partii, referat doc. Gołębiowskiego — stały się podstawą do wielowątkowej refleksji uczestników sympozjum, a także całkiem praktycznej wymiany poglądów, doświadczeń i konkretnych postulatów, których realizacja przyczyni się do dalszego umocnienia rangi regionalnych czasopism społeczno-kulturalnych w kraju.

Ten obszerny i złożony problem zasługuje na oddzielne omówienie. Zresztą, jak zgodzono się w dyskusji każde z regionalnych czasopism ma swoją specyfikę, działa na obszarach o różnych tradycjach kulturalnych, obejmuje swoim zasięgiem wszechstronnie rozwinięte środowiska artystyczne i niewielkie ośrodki posiada większe lub mniejsze możliwości działania, jak dyktuje to geografia środowisk twórczych w kraju. Łącząc się w najważniejszym, w pielęgnowaniu i propagowaniu określonych wartości i idei, które mają charakter ponadregionalny, pisma te tworzą bogatą mozaikę obrazującą oryginalność i żywotność życia kulturalnego regionów. W sumie przyczyniają się do integracji ruchu kulturalnego, współtworzą i dokumentują rozwój kultury polskiej. Są dla tej wielkiej sprawy niezbędne, bogacą naszą kulturę, cementują a nie dzielą kulturalną Polskę.

Tak się dzieje ponieważ pojęcie regionalizmu rozumiemy inaczej niż w przeszłości. Jest to regionalizm nowoczesny nie mający nic wspólnego z separatyzmem, partykularyzmem i prowincjonalizmem myślenia. Jego zasadnicza cechą jest współodpowiedzialność i współpartnerstwo, świadomość łączenia w myśleniu i działaniu tego co regionalne z tym co ogólnonarodowe. Takie też są „Fakty" o czym świadczy czytelniczy rezonans w całym kraju, a nie okolicznościowa grzeczność.

Jak wspomniano wyżej trudno szukać formalistycznie rozumianego wspólnego mianownika dla prasy regionalnej. I nikt na szczęście o czymś takim nie myśli, wszelka uniformizacja byłaby przekreśleniem sensu istnienia tych pism. Jednakże widać już teraz (i Jubilat jest tego najlepszym przykładem) istniejące możliwości dalszego przekształcenia roli i funkcji przynajmniej niektórych czasopism regionalnych. No, ambicje „Faktów" jako pisma ponadregionalnego dla Polski północnej wydają się w pełni uzasadnione. Także zasięg oddziaływania innych pism, które mają ku temu już obecnie pełne możliwości nie powinien być trudnością nie do pokonania. Przy stosunkowo minimalnych nakładach stworzyłoby to korzystniejszą sytuację dla rozwoju kultury mniejszych ośrodków, nie posiadających dotychczas tego typu stymulatora. Z wypowiedzi uczestniczącego w sympozjum tow. **MICHAŁA ATŁASA**, z-cy kierownika Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR, wynikało, że takie zamiary mają szanse powodzenia. W całokształcie polityki kulturalnej partii dostrzega się ważną rolę jaką pisma tego typu spełniają i czyni się wiele aby mogły się one w przyszłości rozwijać umacniać swe oddziaływanie, doskonalić latami ukształtowane modele jak to czynią organizmy żywe, stanowiące ważną część całości.

Jubileusz „Faktów" był dobrą okazją do takich konstatacji. Obserwując z sympatią poczynania redakcji w których nie brakuje im sojuszników, życzymy „Faktom" z okazji pięknego jubileuszu dalszych sukcesów w urzeczywistnieniu ważkich, pożytecznych i ciekawych zamierzeń.

JERZY WAWRZAK

MUZYKA I TANIEC KOREI

W dniach od 13 do 17 października gościł w Łodzi Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej — „MANSUDE".

Konferencja prasowa, jaka odbyła się z tej okazji z udziałem członków delegacji oficjalnej towarzyszącej artystom: wiceministra kultury KRL-D Czan Czola oraz ambasadora KRL-D w Polsce Paik Nam Souna z małżonką, stała się okazją do bliższego poznania nie tylko znanego już w 40 krajach 5 kontynentów zespołu, ale również do przybliżenia tradycji i osiągnięć socjalistycznej Korei, w tym także na polu muzyki.

Warto więc przypomnieć, że choć przebogate tradycje muzyczne Korei sięgają XII wieku (wówczas to rozwinęła się muzyka kultowa), muzyka, podobnie zresztą jak i cała sztuka, była przez wiele lat w Korei przywilejem i rozrywką jedynie klas wyższych. Po wyzwoleniu Korei i utworzeniu KRL-D w 1948 roku, dostęp do dóbr kultury uzyskały najszersze masy społeczeństwa. Wychowano nowe pokolenia muzyków w oparciu o nowo otwarte szkoły i konserwatoria, utworzono związek zawodowy muzyków, zorganizowano wiele orkiestr, zespołów tanecznych i chórów, zbudowano sale koncertowe; muzyka stała się ulubioną formą rozrywki szerokich mas (dziś niemal w każdym domu można usłyszeć dźwięki narodowych instrumentów, melodie starych i nowych pieśni ludu koreańskiego). Niezależnie od nurtu muzyki opartej na wzorach europejskich kultywuje się w KRL-D tradycyjną muzykę inspirowaną narodowym folklorem. Ta dwutorowość znajduje nawet odbicie w dwóch oddzielnych programach radia i szkół muzycznych.

Ta właśnie — narodowa muzyka — odegrała wielką rolę towarzysząc ludowi Korei w jego patriotycznej walce o wyzwolenie Korei i w latach imperialistycznej interwencji. Wówczas to narodziły się nowe gatunki: pieśni żołnierskie i masowe, które za pośrednictwem gazet docierały, podobnie jak docierają i dziś, do wszystkich zakątków kraju.

„Mansude" — zespół założony w 1946 roku nawiązuje w swym repertuarze do wymienionych tu tradycji: muzyki ludowej, patriotycznej, rewolucyjnej. Ma w swym programie m.in. klasyczną operę rewolucyjną „Kwiaciarka" i poemat muzyczno-taneczny „Pieśń o szczęśliwym kraju". Na koncerty w Polsce artyści przygotowali obok pieśni, tańców i utworów instrumentalnych swojego narodu, szereg piosenek w języku polskim (np. „Pod borem", „Ukochany kraj"), pragnąc w ten sposób podkreślić bliskie więzi przyjaźni łączącej oba kraje: KRL-D i Polskę. Łódzka publiczność bardzo gorąco przyjęła występ zespołu „Mansude" podczas jego galowego, jedynego w Łodzi koncertu w Teatrze Wielkim. Koreańscy artyści zaprezentowali szeroki wachlarz muzycznych umiejętności. Warto tu dodać, że w ramach 300-osobowego zespołu działa 120-osobowa orkiestra symfoniczna, zespoły: instrumentów ludowych, wokalne, taneczny, żeńska grupa instrumentalna, a także soliści wokaliści, instrumentaliści, dyrygenci, kompozytorzy i reżyserzy.

Oprócz koncertu, w programie łódzkiej wizyty artystów z dalekiej KRL-D znalazły się również spotkania z zespołem pieśni i tańca „Harnama", z załogą Zakładów Wyrobów Obiciowych „Vera", zwiedzanie muzeów i wystaw oraz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Koreańscy artyści złożyli wieńce w miejscach pamięci narodowej. W ostatnim dniu wizyty zespół „Mansude" i delegację oficjalną przyjął I sekretarz KŁ PZPR Bolesław Koperski.

SOK CYTRYNOWY CZYLI, TRAKTACIK O OSZCZĘDNOŚCIACH

Jako debiutujący dziennikarz — przeprowadziłem wywiad ze znanym przemysłowcem, właścicielem miejscowej rafinerii i terenów naftowych na Podkarpaciu.

Potentat ów, dźwigający na palączastych nogach około cetnara żywej wagi był, jak się okazało w trakcie rozmowy, bardziej biegły w sprawach kulinarnych niż w sprawach naftowych. Mimo ściśle określonej godziny, przyjął mnie w jadalni, gdzie spożywał (jeśli tak to nazwać można) drugie śniadanie. Spałaszował pięć kromek grubo masłem i smakołykami obłożonego chleba, a po deserze wcisnął kilka kropel cytryny do malutkiego kieliszka i wyjaśnił:

— A to wypijam co dzień dla zeszczuplenia...

Przypomina mi się ten wywiad przy suto zastawionym stole, ilekroć dobiegają mnie słuchy o instytucjach, które wydatkowując milionowe sumy na często wątpliwe lub zgoła zbędne cele, zdobywają się na drobne, nieprzemyślane oszczędności.

Jako mieszkaniec domu, któremu sądzone było znaleźć się w bezpośrednim sąsiedztwie łódzkiej trasy W—Z, mam możność obserwować takie „oszczędności" z najbliższego pobliża. Jestem święcie przekonany, że u progu zimowego szczytu należy do minimum ograniczać zużycie prądu, nie mogę jednak milczeniem pominąć faktu, że teren budowy największej inwestycji drogowej miasta wraz ze skrzyżowaniem ulicy Mickiewicza z aleją Kościuszki przez pełne dwa tygodnie pogrążony był w egipskich ciemnościach, a obecnie oświetlany jest przez 1 zaledwie żarówkę, użyczającą tyle światła, ile użyczały go w bezksiężycowe noce dwie mizerne latarnie naftowe w samym centrum mojej rodzinnej kolebki, Monasterzysk.

Mało tego: chodnik wzdłuż niewielkiego odcinka rozsadzanej dynamitem i pooranej koparkami jezdni został najpierw rozwalony, a następnie z powrotem ułożony tak niedbale, że wymaga od nas, śmiertelnych zjadaczy chleba, ekwilibrystycznej wprawy. Co do mnie, dzięki wybałuszaniu (w porze wieczornej) ślepiów i ślimaczym ruchom kończyn dolnych zdołałem utrzymać całość moich stóp i goleni, natomiast jedna z sąsiadek po skręceniu prawej nogi musiała zakuć ją w gips na całe trzy tygodnie, co kosztowało zakład „macierzysty" cztery tysiące złotych. Za taką sumę — a chodzi tu o pojedynczy wypadek — można było chodnik doprowadzić do używalnego stanu i uporządkować jeszcze część płyt na przyległym skwerze. Ba, ale przedsiębiorstwu nie udało by się uniknąć tego „niepotrzebnego" wydatku.

A jeśli już mowa o instytucjach na wielką skalę, nie mogę się powstrzymać od uwag pod adresem chlubnie znanego za rubieżami naszego kraju Monopolu Spirytusowego. Sam bardzo rzadko korzystam z jego usług i pragnąłbym z głębi serca ograniczyć jego „wewnętrzne" obroty. Ale i ten potentat wytwórczy, dostarczający państwu miliardowe dochody, nie mógł obejść się bez drobnych, nieprzemyślanych oszczędności. Mam tu na myśli wyłączne do niedawna półlitrowe opakowania spiriti vini i wódek w zamian za nieobecne na półkach sklepowych i garmażeryjnych ćwierćlitrówki. Ta oszczędność butelek ze strony szafarza wysokoprocentowych napojów wyskokowych wyszła tylko na dobre nałogowym opojom, a była kamieniem potknięcia dla społeczników, którzy podjęli dość nierówną walkę z alkoholizmem. Poza tym, proszę pomyśleć: oszczędność butelek — w czasie, gdy na śmietnikach poniewierają się krocie flach po winach, słoików po dżemach i tyleż szklanych opakowań aptecznych.

Kiedy zaś mowa o aptekach, muszę podać do wiadomości ogółu nowy, rewelacyjny rodzaj oszczędności. Wszystkim nam wiadomo, że niektórzy lekarze, ulegając prośbom pacjentów, wypisują im bezlik koniecznych lub mniej koniecznych medykamentów. Aliści znalazł się wśród naszych Eskulapów chwalebny wyjątek.

Mam przyjaciela w zaawansowanym wieku, rencistę, inwalidę drugiej grupy. Człowieka samotnego, z trudem wiążącego koniec z końcem, jako że pobierana prezeń renta nie dosięga jeszcze poziomu najniższych zarobków... Owóż druh mój udał się ostatnio do „swojej" przychodni celem zasięgnięcia internistycznej porady. Jakież było jego zdziwienie, gdy lekarka, zapisując mu medykament, oświadczyła wręcz:

— Nie mogę panu wypisać bezpłatnej recepty! Zapłaci pan trzydzieści procent, bo to bardzo drogie lekarstwo...

Internistka postąpiła wprawdzie niezgodnie z obowiązującymi przepisami, stała się jednak autorką cennej innowacji.

Nie chcę wywalać otwartych drzwi, toteż nie „obmawiam" naszej rodzimej telewizji, której główne oszczędności polegają na powtórkach filmów i spektakli oraz na systematycznym sprowadzaniu obcokrajowych niechodliwych bubli. Ale za to, ileż uciechy dostarczają nam programy rozrywkowe szklanego ekranu, chociażby w postaci długoterminowych prognoz pogody!

A ponieważ trwa jeszcze Miesiąc Oszczędności, pozwalam sobie zakończyć moje dzisiejsze, niezbyt wesołe rozmyślania pozytywnym apelem do braci-rodaków:

Składaj oszczędzane grosze w PKO a nie w pończosze!

HORACY SAFRIN

KRONIKA KULTURALNA

✲

Koncertem kameralnym poświęconym twórczości **Witolda Lutosławskiego** uczczono w Łodzi — z udziałem kompozytora — ustanowiony na dzień 1 października **Międzynarodowy Dzień Muzyki.**

✲

Z zagranicy donoszą o kolejnych sukcesach młodych łódzkich artystów: na wysoko notowanym międzynarodowym konkursie wokalnym w **Tuluzie** III nagrodę zdobyła **Marta Ewa Stukus-Kosmala**, absolwentka Wydziału Wokalno-Aktorskiego łódzkiej PWSM (w kl. adj. **A. Winiarskiej**); natomiast w **Santiago de Compostella** (w Hiszpanii), na międzynarodowym konkursie interpretacji muzyki hiszpańskiej pierwsze miejsce zajął łodzianin, gitarzysta — wirtuoz **Jan Oberbek.**

✲

Trwa wielki plebiscyt muzyczny zorganizowany przez redakcję **„Expressu Ilustrowanego"** i **Filharmonię Łódzką.** Czytelnicy gazety — słuchacze cotygodniowych koncertów w PFL wybierają najpopularniejsze utwory, najlepszych solistów i dyrygentów występujących w Łodzi.

✲

Dobre oceny zebrał łódzki teatr „77", który wystąpił niedawno na międzynarodowych spotkaniach teatru i sztuki otwartej we Wrocławiu i Oleśnicy, prezentując wraz ze szwedzkim **„Teater 8"** wspólnie zrealizowaną wypowiedź pt. **„Skrzyżowanie".** Oba zespoły występowały następnie w Krakowie — na zaproszenie teatru **„STU".** Z kolei do Łodzi — na zaproszenie teatru „77" przyjechały dwa inne teatry biorące udział we wrocławskiej imprezie. W dniach od 14 do 19 października pokazywały swoje spektakle: **„El Teatre de la Esperanza"** grupujący meksykańskich emigrantów studiujących na Uniwersytecie Kalifornijskim (spektakl pt. „Ofiara") oraz **„Comuna Baires Teatro Laboratorio"** składający się z argentyńskich emigrantów politycznych i Włochów (spektakle: „Water Closet", „Weber" i „West").

✲

Nowy teatr powstaje przy **Akademickim Ośrodku Kultury.** Organizatorzy ogłosili wielki nabór kandydatów — „wszystkich, którzy chcieliby popracować twórczo". Chętni mogą zgłaszać się z ZL SZSP, ul. Piotrkowska 77.

✲

Rozdano nagrody II Amatorskich Konfrontacji Teatralnych, imprezy zorganizowanej przez **Dzielnicowy Dom Kultury na Bałutach.** Nagrodę główną otrzymał **Teatr Publicystyczny** z Piotrkowa Tryb. za spektakl pt. **„Tamten człowiek"** w reż. **J. Kordowiaka.** Nagrodę publiczności zdobył **Teatr „44"** za spektakl **„Majster"** w reż. **A. Czernego.**

✲

10 lat już trwają owocne kontakty teatrów: Narodowego w **Zenicy** (Jugosławia) i im. **Stefana Jaracza** (z Łodzi). Łódzki teatr utrzymuje również kontakty z artystami bułgarskimi. Trwają właśnie próby współczesnej komedii bułgarskiej pt. **„Rozwód"**, której premiera zrealizowana przez bułgarskich twórców odbędzie się w Teatrze im. Jaracza w połowie listopada — w ramach obchodów Dekady Sztuki Bułgarskiej w Polsce.

✲

Październik to okres ożywienia życia filmowego. We **„Włókniarzu"** i „Polonii" odbywać się będzie w dniach od 20 do 21. X. **przegląd filmów brytyjskich.** W programie m. in. głośny film **Jerzego Skolimowskiego — „Wrzask".** W październiku również odbędzie się tradycyjny przegląd najnowszej twórczości zespołu **„Profil".** Od 10 do 24. X. trwa na ekranie kina „Stylowy" **przegląd filmów absolwentów łódzkiej Szkoły Filmowej,** obchodzącej swoje 30-lecie. Natomiast z okazji 35 rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego w kilkunastu kinach województwa odbył się **retrospektywny przegląd filmów wojennych.**

✲

Rozpoczął się — organizowany przez **Łódzki Dom Kultury** wespół z **Filmoteką Polską** — jednoroczny kurs historii filmu pn. **„Studium Historii Filmu"**, składający się z cyklu projekcji poprzedzanych wykładami. Inicjatywa, podobnie jak w latach ubiegłych, cieszy się dużym powodzeniem.

✲

Trzylecie istnienia obchodzi w październiku **Muzeum Historii Miasta Łodzi.** Zorganizowało ono ponad 20 wystaw różnego rodzaju, wydało szereg atrakcyjnych katalogów i folderów. Powiększyły się znacznie zbiory muzeum: dokumenty, archiwalia, ikonografia, dzieła plastyczne, przedmioty użykowe, pamiątki. Rozbudował się także dział sztuki filmowej.

✲

Powołano w Łodzi **Zespół Ochrony Zabytków Techniki Drogowej i Mostowej.** Jego opieką objęte zostaną mosty, przepusty, wiadukty, drogi, nawierzchnie, dróżniczówki, a także np. stare młoty do tłuczenia kamieni i walce parowe, oraz inne przedmioty i obiekty z tej dziedziny posiadające wartość historyczną.

✲

O cenny eksponat wzbogaciła się ostatnio łódzka **„Desa".** Jest nim jednostronnie polichromowana tempera na drewnie — obraz o tematyce sakralnej z Włoch, z XIV wieku. Wartość obrazu — 90 tysięcy złotych. Dzieło trafi do jednego z krajowych muzeów.

✲

Z apelem **„Pomóżmy staremu Krakowowi zachować swoją świetność"** skierowanym do uczniów wszystkich szkół łódzkich wystąpiła młodzież **XXXI LO im. L. Zamenhofa** w Łodzi, pragnąc w ten sposób przyłączyć się do ogólnopolskiej akcji na rzecz ratowania starych zabytków Krakowa. Rozpoczęto zbiórkę złomu i makulatury.

✲

Dużą aktywność przejawia — już u progu sezonu kulturalnego — **Stowarzyszenie „Dom Środowisk Twórczych".** Z kalendarza ostatnich imprez wypada wymienić montaż poetycki pt. **„Sam na sam z Majakowskim"** w wykonaniu aktorów **Teatru im. Bogusławskiego** z Kalisza, projekcję najnowszych filmów wyprodukowanych przez **Wytwórnię Filmów Oświatowych** i inauguracyjny w tym sezonie **„Czwartek Literacki"** poświęcony satyrze i fraszce. Jego gospodarzami byli: **Tadeusz Giegier, Jan Huszcza** i **Igor Sikirycki.**

✲

W klubowych salonach wystawowych — pejzażyści. W **Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki** swoje prace wystawia **Tadeusz Majda** — dwukrotny laureat pierwszych nagród w konkursach na pejzaż łódzki. W **Klubie Dziennikarza** — dziesięć pejzaży polskich **Ryszarda Urbańskiego.** Malarstwo — pędzla **Miry Żelechower** — można oglądać także w **Galerii Bałuckiej.** W pozostałych łódzkich reprezentacyjnych galeriach króluje tkanina unikatowa i przemysłowa.

✲

25 października przewidywany jest występ w Łodzi znanego z licznych przebojów czarnoskórego piosenkarza **Afric Simone** (m in. „Ramaya", „Vagabunde"). „Król dyskotek" wystąpi tylko raz — w Pałacu Sportowym.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

JERZY WOJCIECHOWSKI

KWESTIA POLSKA

Motywacją ideologiczną działalności politycznej i podporządkowanym temu wszelakim rozważaniom była dla polityków okresu zaborów „kwestia polska". Była to najtrudniejsza i najbardziej złożona kwestia polityczna XIX i XX wieku.

Rozbiory Polski były uważane za jedną z największych katastrof narodowych, która wywołała przełom w ówczesnym życiu politycznym Europy i skomplikowała układ sił na tym kontynencie. Państwo polskie, jedno z największych w Europie, będące organizacją kilku narodów, upadło z dnia na dzień. Jak pisał Józef Dąbrowski, jeden z wybitniejszych działaczy obozu niepodległościowego, naród polski, „o bogatej przeszłości historycznej, niepomiernych zasługach dla cywilizacji wszechludzkiej, o niezwykle wyraźnej indywidualności, sprowadzony został na stopień pariasów". Opinia europejska była przekonana, że rozbiory wymazały Polskę z wykazu państw i narodów. Sąd taki był uwarunkowany niekorzystnym układem sił, zarówno w kategoriach wewnętrznych jak i zewnętrznych. Polska podzielona została pomiędzy trzy mocarstwa, które dzięki temu stworzyły jeden z najtrwalszych sojuszów politycznych w historii Europy, którego podstawą była sprawa polska.

W pierwszych latach po rozbiorach społeczeństwo dawnej Rzeczypospolitej Szlacheckiej nie było specjalnie zainteresowane zmianą powstałej sytuacji. Wspomniany już J. Dąbrowski tak to motywował:

„Zabawy, życie bezmyślne i dobrobyt wystarczały szlachcie. Mieszczaństwo i chłopi ze zmianą położenia uzyskali ulgi, co poniekąd na sprawy narodowe czyniło ich obojętnymi".

Szlachta, ówczesny reprezentant opinii publicznej, była zainteresowana w utrzymaniu związków politycznych z Rosją. Rosja była jej bliska ideologicznie i ustrojowo. Dlatego też plany Czartoryskich, zakładające połączenie wszystkich ziem dawnego państwa polskiego pod berłem carów rosyjskich, spotkały się z jej aprobatą.

Sprawa polska weszła na arenę europejską dopiero w okresie wojen napoleońskich. Działania wojenne objęły też wtedy ziemie polskie. Zmusiło to Europę do zainteresowania się problemami polskimi. Sprawa polska, ten **„zwornik sklepienia polityki europejskiej, bez utrwalenia którego niemożliwy jest pokój"** — jak mówił Napoleon, stała się elementem przetargowym w czasie rokowań dwóch cesarzy w Tylży. Utworzono wtedy Księstwo Warszawskie — namiastkę państwowości polskiej. Fakt ten odegrał wielką rolę w rozwoju polskiej myśli politycznej.

Kwestia polska w całej swej okazałości, jako jeden z najbardziej skomplikowanych problemów europejskich, stanęła w trakcie obrad Kongresu Wiedeńskiego. Koncepcje polityków polskich, spekulujących na możliwość restytucji Królestwa Polskiego w granicach z 1772 roku pod opieką Rosji, sprzeczne jednak były z interesami Austrii. Naruszyło by to bowiem równowagę europejską, a do tego Austria nie chciała dopuścić.

Kongres Wiedeński, jak pisał Szymon Askenazy, żywił nieufność do Polski, jako najwybitniejszego uosobienia nowoczesnej idei narodowościowej i wyzwoleńczej. Obawiał się zarazem Rosji usadowionej w Warszawie. Dlatego zajął stanowisko kompromisowe, starając się pogodzić fakt podziałów dokonanych w XVIII wieku z nową sytuacją narodowościową z wieku XIX. Zatwierdził więc rozbiory, ale też uznał prawa narodu do rozwoju kulturalnego i własnej reprezentacji narodowej w granicach z 1772 roku. Dlatego Królestwo Polskie — obiecane Polakom przez Aleksandra I — objęło tylko tę część ziem polskich, które były pod zaborem rosyjskim i do których nie było wątpliwości, że są etnicznie polskie. Prusy i Austria utrzymały swoje części zaborów.

Królestwo Polskie, obdarzone liberalną konstytucją, rządzone przez ludzi światłych i energicznych, w pierwszych latach swego istnienia przeżywało rozkwit. Polacy deklarowali się Rosjanom z braterstwem, a Aleksander I obiecywał: **„chcę was wszystkich połączyć — Litwę, Podolę, Ukrainę".** Ale obietnic tych nie dotrzymał. Nie to tylko dzieliło Polskę i Rosję. Demokraci polscy uważali, że liberalne, konstytucyjne Królestwo Polskie nie może dojść do porozumienia z despotyczną Rosją, która była przecież strażnikiem reakcji w Europie.

Dla polskiej demokracji z połowy XIX wieku powstanie 1830 roku było najważniejszym wydarzeniem w historii wszystkich ruchów demokratycznych i narodowowyzwoleńczych ówczesnej Europy, gdyż skierowane było przeciwko najpotężniejszej przedstawicielce reakcji europejskiej. Jego zwycięstwo zapewniłoby — według nich — rozwój idei rewolucyjnych w Europie, tworząc potężny szaniec „broniący wolnej Europy od caratu". Tego typu poglądy spotkały się z uznaniem wśród postępowych kręgów w Europie.

W zwyciężonym Królestwie Polskim carat wprowadził Statut Ograniczony, który — nadając formalnie szeroką autonomię — znosił Sejm i Konstytucję. Stało się to wtedy, kiedy dyplomacja europejska nie była jeszcze skłonna ignorować postanowienia Kongresu Wiedeńskiego. Nadało to sprawie polskiej znaczenie międzynarodowe. Francja i Anglia stały na gruncie państwowej odrębności Królestwa Polskiego i uważały, że stosunki polsko-rosyjskie powinny opierać się na zobowiązaniach danych przez Rosje całej Europie. Austria i Prusy, ściślej z Rosją związane, protestowały przeciwko połączeniu Królestwa z Rosją, jak też przeciwko innym zmianom wprowadzanym przez Rosję. Walką Polaków o niepodległość coraz silniej interesowały się postępowe i rewolucyjne ugrupowania XIX-wiecznej Europy.

Punkt ciężkości w rozważaniach o sprawie polskiej przesunął się na aspekt moralny. Winą za sytuację Polaków obarczono chciwych i despotycznych zaborców, gwałcących nienaruszalne prawa narodów. Obarczono też Europę odpowiedzialnością za los Polski. Wszyscy ci, którzy byli przeciwni Świętemu Przymierzu, solidaryzowali się z narodem polskim walczącym o swe wyzwolenie. Stosunek do sprawy polskiej stał się barometrem, probierzem sił ruchu rewolucyjnego Europy. Polska, walcząca przeciwko rządom Świętego Przymierza, stała się naturalnym sojusznikiem rewolucji europejskiej, dążącej do zmiany stosunków politycznych i społecznych. Rozumiała to dobrze polska emigracja i starała się to w odpowiedni sposób wyzyskać.

Do sprawy polskiej ustosunkowali się też twórcy socjalizmu naukowego — Karol Marks i Fryderyk Engels. Ich punkt widzenia dziejów Rzeczypospolitej wpłynął na stosunek do sprawy polskiej socjalistów we wszystkich krajach. Uważali oni, że od rozwiązania tej sprawy zależą losy rewolucji demokratycznej w środkowo-wschodniej Europie, a między innymi szanse zjednoczenia Niemiec na zasadach demokratycznych.

Wiosna Ludów była szczytowym punktem zainteresowania i gorącej sympatii Europy dla sprawy polskiej, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIX wieku zainteresowanie to zostało na krótko rozbudzone w czasie wojny krymskiej oraz podczas powstania styczniowego. W tym czasie i później, zarówno na emigracji, jak i w kraju, głoszono hasła odbudowy państwa związane ze złudną nadzieją na wojnę europejską.

Powoli dokonywały się zmiany w poglądach na sprawę polską również i w kraju. Polski program niepodległościowy, który był dawniej programem niewielkiej grupy demokratów, teraz stał się programem ludowym. Uwłaszczenie chłopów wyraźnie przyśpieszyło proces kształtowania się świadomości narodowej i to nie tylko na ziemiach Królestwa Polskiego. Mieszkańcy ziem litewskich, białoruskich i ukraińskich precyzowali już własne aspiracje narodowe. Fakt ten wymagał sformułowania nowych założeń myśli politycznych, nowych programów społecznych. Konieczne stało się teraz zrewidowanie polskich dążeń terytorialnych. Spór o Kresy dawnej Rzeczypospolitej przestał być już sporem tylko pomiędzy Polską a Rosją.

Pojawiło się nowe pokolenie Polaków, które — jak zauważył Ludwik Krzywicki w swoich wspomnieniach — postawiło przed sobą cel walki o niepodległą Polskę. Rodziła się nowa, nonkonformistyczna Polska buntownicza, „pokolenie niepokornych". Na pierwszy plan wysuwały się problemy niezawisłego życia narodowego, które nie może rozwijać się bez własnego państwa i instytucji z nim związanych.

Nie wszyscy jednak w taki sam sposób widzieli sprawę niepodległości. Ludwik Waryński, na przykład, wraz ze swoimi sympatykami, deklarował się jako zwolennik haseł antyniepodległościowych. Wszedł tym w kolizję nie tylko ze zwolennikami walki o niepodległość, ale także z przywódcami międzynarodowego ruchu robotniczego. Ludwik Waryński uważał bowiem, że hasło: „Polska ma bronić Zachodu przed despotyzmem rosyjskim" straciło swoją aktualność. Według niego powodzenie sprawy polskiej było organicznie związane ze światową rewolucją.

Inaczej problem ten widział Bolesław Limanowski. Według niego „bez odzyskania niepodległości nie podobna myśleć o tym", by naród polski mógł uzyskać „wolności polityczne, a bez istnienia wolności politycznych marzeniem pozostaną wszelkie pragnienia odmian socjalistycznych w ustroju społeczno-ekonomicznym narodu". Do tej tezy nawiązała PPS, usiłując uczynić ze sprawy walki o niepodległość Polski jeden z podstawowych celów międzynarodowego ruchu robotniczego.

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych XIX wieku do poglądów PPS zbliżała się Liga Narodów. Postawiła sobie zadanie, aby wspólnie z PPS wyrwać społeczeństwo ze stanu bierności politycznej oraz polityki lojalizmu wobec Rosji. Na przełomie XIX i XX wieku został sprecyzowany przez Romana Dmowskiego i jego współpracowników nowy program narodowy, w którym obowiązywała zasada nadrzędności interesu narodowego, zarówno wobec państwa jak i zagadnień społecznych. Nie oznacza to, że endecja nie doceniała roli własnego państwa w życiu narodu, podważała ona jedynie celowość ograniczenia programu działań narodowych do przygotowania kolejnego powstania.

W koncepcjach Romana Dmowskiego nastąpiło poważne przewartościowanie w sposobie widzenia kwestii polskiej. Jego zdaniem największe niebezpieczeństwo groziło narodowi polskiemu ze strony Niemiec. Uważał, że pomiędzy Polską a Prusami niemożliwy jest żaden kompromis. Analizując układ sił międzynarodowych, wychodził z założenia, że największym niebezpieczeństwem dla Europy były Niemcy, a nie Rosja. Osłabienie Rosji wojną z Japonią i kryzysem wewnętrznym groziło umocnieniem się **„dominanty niemieckiej w Europie".** „Przyszłość Rosji — utrzymywał Roman Dmowski — w poważnym stopniu zależy od właściwego rozwiązania kwestii polskiej. Od tego, czy Rosja w swej polityce będzie się kierowała ciasnym nacjonalizmem wielkoruskim, czy też wejdzie ona na **„drogę rozwoju sił społecznych, sił zarówno narodu rosyjskiego, jak innych w skład państwa wchodzących..."** Według tej koncepcji, Polska miała powrócić do swej roli pełnionej w okresie pierwszych Piastów, kiedy to występowała jako obrońca Słowiańszczyzny przed imperializmem teutońskim.

Kwestia polska w całej swej rozciągłości weszła ponownie na forum polityki europejskiej z chwilą wybuchu I wojny światowej. Terenem tej wojny musiały stać się ziemie polskie, jako że zaborcy znaleźli się w przeciwnych obozach. Najszybciej, ze stosunkowo najdalej idącymi „propozycjami" wystąpiła Rosja. Jednak ta polityka obietnic, nie poparta zamiarami ich spełnienia, nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Nie udała się również próba akcji powstańczej podjętej przez Józefa Piłsudskiego. Nie znalazła ona poparcia ludności Królestwa Polskiego.

Rozwój sytuacji wojennej zmusił jednak walczące strony do zajęcia konkretnego stanowiska w sprawie polskiej. Każdy z zaborców dążył do pozyskania dla siebie polskiego rekruta, obiecując w zamian odrodzenie państwa Polskiego. Były to jednak ciągle obietnice odsuwające realizację na czas późniejszy. Sprawą Polski nie interesowały się mocarstwa zachodnie, uważając ją za wewnętrzną sprawę Rosji. Ale mimo to idea państwowości polskiej stawała się z mrzonek i utopii coraz bardziej realna, którą należało wcielić w życie. Proces ten przyśpieszyła Rewolucja Październikowa i oświadczenie wolnej Rosji, że się zrzeka ostatecznie zaborów na polskich ziemiach dokonanych.

WACŁAW PAWLAK

ŁÓDŹ-1918

W czasach I wojny światowej ziemie polskie przez cztery lata przechodziły ciężki okres okupacji niemieckiej. Grabieżcze rządy okupanta w szczególny sposób odczuła Łódź. Władze niemieckie w sposób rabunkowy starały się wycisnąć jak najwięcej dóbr materialnych z okupowanego miasta. Poszukiwały zwłaszcza cennych dla przemysłu wojennego metali, takich jak miedź i mosiądz. Nie tylko obdzierali z blachy miedzianej wieże kościelne, nie tylko zabierali na złom dzwony, ale także konfiskowali po mieszkaniach rondle żelazka do prasowania, patelnie, klamki u drzwi itp. Największe oburzenie miejscowego społeczeństwa powodowało wydobywanie nawet drobnych ilości miedzi z maszyn i urządzeń przemysłowych, wskutek czego stały się one zupełnie bezużyteczne.

W mieście, z przyczyny działań wojennych i rekwizycji okupanta, brak było podstawowych środków spożycia żywności, opału, nafty do oświetlania mieszkań, mydła, obuwia, tkanin. Wszelkie artykuły pierwszej potrzeby zostały zreglamentowane. Wprowadzono system kart żywnościowych. Powszechnym zjawiskiem stały się długie kolejki pod sklepami, zwane „ogonkami". Nieraz całe rodziny po kilkanaście godzin wyczekiwały w „ogonkach" dla uzyskania przydzielonego im bochenka chleba, odrobiny marmolady albo paru kilogramów ziemniaków. Dodać trzeba, że chleb był wypiekany z mąki zawierającej znaczną domieszkę miazgi drzewnej, a marmolada sporządzana z mieszaniny brukwi i buraków.

Warunki wojenne zmuszały władze okupacyjne do szerokiego stosowania środków zastępczych, czyli tzw. „ersatzów". Mieszkańcy Łodzi, chcąc nie chcąc, musieli z nich korzystać. Zamiast cukru używano sacharyny, zamiast herbaty — różnych ziółek, zamiast tytoniu — suszonych liści wiśniowych. Kawę sporządzano z palonych żołędzi. Tłuszcze cenione były na wagę złota. W dobroczynnych jadłodajniach karmiono wygłodniałych ludzi zupą z brukwi, z przemarzniętych buraków, kartofli lub suszonej ryby. Mieszkania z braku nafty oświetlane były kagankami oliwnymi lub lampami karbidowymi. Ubrania noszono z włókna pokrzyw. Wielu mieszkańców chodziło w obuwiu na drewnianych podeszwach.

Bezrobocie, nędza i drastyczne ograniczenia w zaopatrzeniu ludności w najbardziej niezbędne środki utrzymania spowodowały rozwinięcie się procederu zwanego szmuglem, czyli przemytem środków żywności z ograbianej, ale jakoś sobie jeszcze radzącej z grabieżą wsi — do miasta. Mimo najsurowszych zakazów, mimo dotkliwych kar tysiące wygłodniałych łodzian wypuszczało się na przemytnicze wyprawy po mąkę, kaszę i słoninę.

Okupant niemiecki, licząc się z nieprzyjaznymi nastrojami społeczeństwa, czynił próby jego ugłaskania, przyznając pewne koncesje, mające stwarzać pozory niezależności i wolności. Władze niemieckie wyraziły między innymi zgodę na przejęcie szkolnictwa przez władze szkolne polskie, na ograniczone wybory do Rady Miejskiej itp. Niemcy zezwolili także na działalność niektórych stronnictw i partii politycznych.

Koncesje te jednak w zasadzie nie zmieniły stosunku społeczeństwa Łodzi do okupantów. W czwartym roku okupacji ludność miasta wskutek nieustannych ograniczeń żywnościowych, braku zarobków i wyczerpania się wszelkich zasobów doszła do zupełnej rozpaczy. Ciężką sytuację aprowizacyjną, zwiększające się stale ceny, najdotkliwiej odczuwała klasa robotnicza. Nie pozostawała ona jednak bierna i broniła się jak mogła przed wyzyskiem ekonomicznym. Dochodziło do rozruchów głodowych, a także do strajków na tle ekonomicznym. Pod wpływem wieści nadchodzących z Rosji, gdzie w wyniku rewolucji władzę przejęli bolszewicy, wystąpienia robotnicze przeradzały się w manifestacje polityczne.

Przełomowym wydarzeniem w okupowanej Łodzi były protestacyjne demonstracje społeczeństwa w lutym 1918 roku. Pod wrażeniem wiadomości o oderwaniu Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego ludność miasta bardzo licznie demonstrowała przeciwko czwartemu rozbiorowi. Demonstracje te połączono z protestem przeciw dalszym ograniczeniom i tak już głodowych przydziałów żywności. Wówczas to dzienną rację chleba zmniejszono do 80 gramów na osobę. W manifestacjach brali udział robotnicy, młodzież szkolna, tajne organizacje wojskowe. Wznoszono okrzyki: Precz z wojną! Precz z okupacją! Niech żyje rewolucja! Demonstracje odbywały się w dniach 15 i 17, a wzmogły się na sile 18 lutego 1918 roku. Demonstranci zostali rozpędzeni przez policję i patrole wojskowe, przy czym kilka osób odniosło obrażenia.

W związku z tymi zajściami niemiecki gubernator wojskowy nałożył na Łódź kontrybucję w wysokości 100.000 marek. Wydano także nakaz aresztowania radnych miejskich: Gralaka z PPS-Lewicy i Lichtensztajna z Bundu za podburzające przemówienia na jednym z posiedzeń Rady Miejskiej. Zdołali oni zbiec przed aresztowaniem. Inny radny, Aleksy Rżewski z PPS-Frakcji Rewolucyjnej, skazany został przez sąd wojskowy na cztery i pół roku więzienia za antypruską działalność i wydawanie nielegalnych pism. Uciekł jednak w czasie transportu do więzienia.

Pod sąd wojskowy oddano również radnych Antoniego Remiszewskiego i Tadeusza Sułowskiego za dopuszczenie do antyniemieckich wystąpień podczas posiedzenia Rady Miejskiej. Inż. Sułowski skazany został na 8 miesięcy więzienia. Niezmiernie surowy wyrok otrzymał Remiszewski — cztery i pół roku ciężkiego więzienia.

Represje okupanta nie załamały miejscowego społeczeństwa. W mieście narastał opór, podsycany wieściami z frontu zachodniego, z których niezbicie wynikało, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę państw koalicyjnych. Wyraźnym przejawem dalszej aktywizacji mas była manifestacja w dniu 1 maja 1918 roku.

Zbiórka manifestantów odbyła się tradycyjnie na Wodnym Rynku (plac Zwycięstwa). Stamtąd ruszyli oni ze sztandarami do śródmieścia. Pochodowi robotniczemu towarzyszyli policjanci, jednakże nie interweniowali. Dopiero przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Dzielnej (Narutowicza) większe siły policjantów zagrodziły drogę manifestantom. Wywiązała się zacięta walka, w wyniku której pochód został rozproszony.

Niepowodzenia niemieckie na frontach wojennych zaktywizowały działające w Łodzi podziemne organizacje niepodległościowe. Czyniły one przygotowania do zbrojnego wystąpienia. Poczęły także wydawać nielegalne pisma, które miały za zadanie propagowanie wśród mieszkańców Łodzi idei niepodległego państwa polskiego. Wśród prasy podziemnej na pierwsze miejsce wysuwał się organ miejscowej organizacji Polskiej Partii Socjalistycznej „Łodzianin", Liga Państwowości Polskiej wydawała „Strażnicę", przeniesioną póź niej do Piotrkowa Trybunalskiego. Organem prasowym Narodowego Związku Robotniczego był „Głos Robotnika".

W październiku 1918 roku stało się zupełnie jasnym, że władzom okupacyjnym usuwa się grunt pod nogami. Wykazywały one niezwykłą nerwowość w obchodzeniu się z ludźmi, jak również zdradzały objawy paniki. Społeczeństwo Łodzi z niebywałym napięciem czekało na dalszy rozwój wydarzeń. Myśli i czyny Polaków coraz bardziej zwracały się w stronę niepodległości.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

W LUSTRZE U KAPELUSZNIKA

W kapeluszu mi
do głowy
i głowa ważniejsza.

★

Na rogu
chryzantemy
we wiadrze złocistym.

★

Do widzenia lato
odlatuję
do Egiptu.

★

Łza
się kręci
w cebuli.

★

Przepisane.
„Zasznurowane usta"!

★

I pomyśleć.
Piołun kwitnie.

★

Skąd tu biedronka
na szybie w tramwaju jeżdżąca na gapę?

Boże,
spraw żeby nie było kontroli.

★

Bratki: wróble kwiatów.

★

Scena miłosna.
Jaskółka pocałowała jezioro.

★

Na niebie czyżyk.
Nie, to krzyżyk.

★

Z pamięci
to można wygrzebać
jakieś słońce
dziewczęcego ciała.

Ale trzeba
pamiętać.

★

Gwiazdy
mają miliardy lat.

Staruchy niebieskie.

★

Mama.
Macoszki w zielonkawej skrzynce.

★

Czym gorszy od róży
kwiatuszek ogórka
tym że nie duży?

Powąchaj słowo: kwiatuszek

KRYSTYNA KONDEK

CUD

Pachniało wieczorem
i świeżym pieczywem
I tak się stało
jak na obrazku
dziecinnym
rogal pozłacany
zawisł
nad chodnikiem.

★ ☆ ★

Jestem cząstką twojej wyobraźni
wymyśliłeś mnie
w półszepcie gwiazd
na kształt
wilgotnej pomarańczy
którą teraz
kawałek
po kawałku
podjadasz leniwie
odrzucając ze wstrętem
nadmiar pestek

EDWARD KOPCZYŃSKI

ZAKOCHANY

Okazja do pogadania z Krystyną przyszła jakby na zamówienie. Potańcówka u koleżanki Krystyny miała się odbyć dokładnie na dwa tygodnie przed egzaminem. Grzegorz i tym razem starał się wykręcić od udziału w tej imprezie, ale Krystyna była stanowcza:

— Egzamin, egzaminem, a na potańcówkę pójdziesz, muszę cię wreszcie pokazać. Zresztą, nawet dla zdrowia powinieneś się rozerwać.

— Chcesz pokazać koleżankom faceta z puszczy?

— Chcę.

— Kto tam będzie?

— Nasza paczka, Piękna Jadzia, Grubas, Elegant i inni.

— Mówisz tak, jakbyś była w konspiracji.

— Nie — śmiała się Krystyna — nadaliśmy sobie takie śmieszne przezwiska, tak sobie, to jest bez znaczenia.

— Jakie jest twoje?

— Co?

— Przezwisko.

— Zgadnij.

— Uparta?

— Nie.

— Blondyna?

— Nie.

— Śliczna?

— Już cieplej.

— Piękna?

— Nie.

— Nie zgadnę, poddaję się.

— Popatrz na mnie, przyjrzyj się.

— Patrzę, ale nic nie kapuję.

— Popatrz na mnie, no, na moją figurę, w ogóle na mnie. Co widzisz?

— Nic.

— Jesteś wstrętciuch.

Grzegorz, który w tej chwili właśnie postanowił że potańcówka będzie świetną okazją, by pogadać poważnie z Krystyną, wzruszył ramionami i powiedział szczerze:

— Krysiu, nic nie wymyślę, nie potrafię.

— W takim razie musisz poczekać, dowiesz się na potańcówce.

U Pięknej Jadzi było kilka koleżanek, kilku kolegów. Wiedział od Krystyny, że wszyscy studiowali. Akademia Medyczna, Uniwerek, Akademia Sztuk Pięknych. Właśnie Piękna Jadzia zapowiadała się podobno na świetną malarkę. Mieszkanie było obszerne i całe do ich dyspozycji, bo rodzice wybrali się właśnie do Zakopanego. Bufet — bo o czymś takim panie pomyślały — zaopatrzony był w zimne przekąski, ciasteczka, wina i szlachetne koniaki. Nieźle — pomyślał Grzegorz...

W czasie prezentacji usłyszał o sobie z ust gospodyni, że jest Wielkim Łowczym z Puszczy Piskiej, poskromicielem dzików i zdobywcą pięknej lisiej skóry. Koleżanki, to: Szczupła, Irys i Cyganka. Krystyna — okazało się — to Zgrabna. Do licha, to przecież mógł odgadnąć.... Młodzieńcy, dryblasy niewiele niżsi od Grzegorza, to: Elegant, Gruby, Fizyk, Mały, Grajek. Piękna Jadzia po prezentacji zaproponowała, by wszyscy mówili sobie ty i nie zadzierali nosa. Grzegorz, domyślił się, że wszyscy znali się tu jak łyse konie z jednej stadniny, więc propozycja dotyczyła jego osoby. Nie miał nic przeciwko temu, ale czuł się skrępowany i kiedy przystojny, barczysty młodzieniec wyciągnął do niego rękę, oddając uścisk dłoni, powiedział zakłopotany:

— Pan jest Mały, prawda?

— Prawda, panie Wielki Łowczy.

Ten krótki dialog wzbudził na chwilę ogólną wesołość i zaraz potem Piękna Jadzia oznajmiła:

— Proszę państwa, podano do stołu.

Na to hasło wszyscy podeszli do bufetu, do koktajlbaru. Krystyna, pomagając Grzegorzowi oswoić się z nowym otoczeniem, wzięła go pod rękę i szepnęła:

— Wyszukaj dla mnie jakiś smaczny kąsek i poczęstuj mnie koniakiem.

— Zajrzała mu zalotnie w oczy. — Chcę mieć dzisiaj szum w głowie.

Grzegorz znalazł miejsce przy bufecie, nałożył na talerzyk dwie fikuśne kanapki, nalał koniak do dwóch kieliszków.

— Twoje zdrowie, Krysiu — powiedział.

— Tylko tyle?

— Za naszą przyjaźń.

— Tylko tyle?

Jest właśnie okazja, by pogadać z Krystyną, by rozwikłać sprawę — pomyślał Grzegorz z determinacją, ale właśnie Elegant podszedł do nich z napełnionym kieliszkiem, stanął przed Krystyną, zgiął się w dworskim ukłonie, mówiąc:

— Piję, Krysiu za to, że jesteś taka śliczna, za twoje niebieskie oczy, jednym słowem, za twój urok.

— Słyszałeś, Wielki Łowczy, jak można mówić?

Elegant — pomyślał Grzegorz — stanowczo ten dryblas na Eleganta nie pasuje. Dżinsy, kurka, rozpięty kołnierzyk koszuli pod szyją. Dostrajając się do ogólnego tonu, rzekł wesoło:

— Elegant jest poetą, ja jako Wielki Łowczy mógłbym powiedzieć ci, że jesteś dorodna łanią.

— Co to takiego? — zapytała Szczupła.

— Towarzyszka jelenia — wyjaśnił Grzegorz.

— Jak ci się podoba dorodna łania?

— Piękna Jadzia patrzyła na Krystynę z ciekawością.

— Lubię poezję. — Krystyna spojrzała na Grzegorza. — A jak się nazywa towarzyszka dzika?

— Locha — rzekł Grzegorz.

— Fe, to brzmi nieładnie.

Towarzystwo, pałaszując kanapki, śmiało się, a Grzegorz pomyślał, że to pytanie o towarzyszkę dzika było aluzją do niego. Do diabła, nie będzie robił z siebie błazna, jest taki, jaki jest.

Kiedy rozległa się muzyka z magnetofonu, zaczęły się tańce. Grzegorz ani się spostrzegł, kiedy Elegant porwał mu Krystynę. Grali jakąś południową melodię w zwariowanym tempie. Dziewczęta i chłopcy tańczyli oddaleni od siebie, wyczyniając przedziwne ruchy. Wygłupiają się — pomyślał Grzegorz i dostrzegł, że Piękna Jadzia przygląda mu się. Podszedł do niej i poprosił do tańca. Tańczył inaczej, trzymał partnerkę w ramionach.

— Nie umiesz nowocześnie? — spytała.

— Nie.

— Naucz się.

— Czy tak tańczy się źle?

— Takiś ty.

— Jaki?

— Podrywacz.

Grzegorz postanowił śmiać się i bawić, Krystyna z Elegantem wygłupiają się, tańczą wyrzucając raz po raz ręce do góry, podchodzą do siebie...

— Lubisz podrywaczy?

— Jeżeli są mili.

— Mam szanse?

— Nie boisz się Eleganta?

— Co Elegant ma do ciebie?

— To moja sympatia.

— I zostawił cię już przy pierwszym tańcu?

— Chce mu się pewnie łani.

Grzegorz poczuł, że rodzi się w nim złość — ani w ząb nie mógł się połapać, gdzie jest, jakie jest naprawdę towarzystwo, do którego wszedł. Nie rozumiał na przykład, co znaczyło dopiero co usłyszane: chce mu się łani. Jeśli to tylko słowa, to pal licho, ale jeżeli panuje tu taka swoboda obyczajów, to już inna para kaloszy.

— A gdybym ja chciał Pięknej Jadzi?

— Masz już przecież Łanię.

Co to znaczy, do diabła, co to znaczy...

— Chciałbym mieć Łanię i ciebie.

— Nie poznaję cię, o Wielki Łowczy, włączyłeś chyba zbyt wysoki bieg.

— Czy to źle?

— Nie, ale Łania jest moją koleżanką.

— Elegant się nie liczy?

— Liczy się, ale Zgrabna bardziej.

Do diabła, wciąż nic nie wiem.

— Nie ślubowałem Zgrabnej.

Piękna Jadzia przerwała taniec, wzięła Grzegorza za rękę i poprowadziła do baru. Tam napełniła szklankę coca-colą i podała Grzegorzowi.

— Musisz się ochłodzić, mój drogi... i chyba zdejmiesz marynarkę, bo gorąco uderza ci do głowy...

Potem Grzegorz tańczył z Krystyną.

— Jak ci się tańczyło z Piękną Jadzią?

— Jak ci się tańczyło z Elegantem?

— Bardzo dobrze, to świetny tancerz.

— Widziałem.

— I ja widziałam.

— Co?

— Jak uwodziłeś Piękną Jadzię.

— Skąd — zaprotestował Grzegorz.

— Nie musisz się krępować.

Do diabła, wciąż to samo, gdzie ja jestem...

— Krysiu, wiesz, ja nie wszystko tu rozumiem.

— Czego nie rozumiesz?

— Czy to jest... — zawahał się — czy to jest złota młodzież?

— Co przez to rozumiesz?

— No, wiesz — plątał się — bawią się, używają życia, nie myślą o niczym serio.

Krystyna spoważniała.

— To nie jest ta złota młodzież, o której myślisz. Piękna Jadzia jest bardzo zdolna, bardzo dobrze się uczy i swoje studia traktuje najpoważniej. Fizyk jest najlepszy na swoim roku. Szczupła jest na germanistyce, wygrała niedawno konkurs na stypendium, Elegant dobrze się uczy i jest cenionym sportowcem w akademickiej reprezentacji koszykówki.

— Wystarczy — szepnął Grzegorz.

— Jeszcze parę słów. Jest tu kilkoro, którym rodzice zapewniają prawie wszystko, ale są również tacy, którzy utrzymują się ze stypendiów. Mały Grajek, Irys, Cyganka ze stypendiów i korepetycji. — Uśmiechnęła się. — Wszyscy traktują życie poważnie. — Spojrzała na Grzegorza i dodała: — Dziwi cię pewnie swoboda, jaka tu panuje, ale zapewniam cię, że wszyscy tu trochę blefują.

W dwie godziny potem zabawa była w kulminacyjnym punkcie. Z bufetu zniknęły kanapki, dwie butelki po winie i jedna po koniaku stały puste. Elegant znów tańczył z Krystyną, chyba już po raz dziesiąty. Grzegorz udawał, że zajęty jest bez reszty Piękną Jadzią. Udawał tak dobrze, że Piękna Jadzia obserwując go uważnie powiedziała z wyraźną ciekawością:

— Wydaje mi się, że chcesz mnie naprawdę zbałamucić.

— A gdyby tak było?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo właśnie skończył się taniec i Elegant z Krystyną wrócili do nich. Ona była zarumieniona, wesoła, on miał kropelki potu na czole. Nie zwlekając wziął do ręki butelkę z koniakiem. Kiedy chciał napełnić kieliszek stojący przed Grzegorzem, ten odsunął go. Elegant spojrzał zdziwiony, a potem krzywiąc usta powiedział:

— Nie podobasz mi się, Wielki Łowczy. Nie palisz, teraz nie chcesz się napić. Mamisynek z ciebie, co?

Grzegorz miał od razu dosyć całej zabawy. Kto jak kto, ale Elegant kręcący się wciąż przy Krystynie nie miał prawa czepiać się jego matki nawet w ten sposób, słowo matka było mu zbyt drogie, zbyt boleśnie zapisało się w jego pamięci. Nie panując nad sobą zerwał się z fotela, podszedł do Eleganta chwycił go za klapę kurtki i natychmiast — jednym ruchem ręki — postawił na nogi. Elegant zbaraniał. Grzegorz zobaczył w jego oczach najpierw wielkie zaskoczenie, potem przestrach. Miał przez chwilę chęć puścić go wolno, ale krew nabiegła już do skroni i Elegant poleciał na ścianę. Walnął w nią plecami z taką siłą, że aż jęknęło. Dziewczęta i chłopcy stali zdumieni, a Grzegorz podszedł do Eleganta i rzucił mu w twarz:

— Jeżeli powtórzysz te słowa kiedykolwiek, oberwiesz więcej.

— Cham — rzuciła Piękna Jadzia.

Grzegorz spojrzał na Krystynę. Jej twarz była bez kropli krwi, posągowa, oczy patrzyły gdzieś w bok.

— Przepraszam — powiedział Grzegorz i poszedł do hallu, wziął z wieszaka kurtkę i nie oglądając się opuścił mieszkanie.

Nie pamiętał, jak dostał się do centrum. Szedł Nowym Światem w kierunku Alei Jerozolimskiej i po raz pierwszy nie dostrzegł uroku tej ulicy. Był zły na siebie, na Krystynę, na Piękną Jadzię na Eleganta, na wszystkich. Jak zwykle, żałował tego, co zaszło. Zdawał sobie sprawę z faktu, że jego postępek w żadnym przypadku nie znajdzie usprawiedliwienia. Pal licho pozostałych, ważna jest Krystyna. Zobaczył znów jej twarz. Zacisnął zęby i z determinacją pomyślał: Potępiła mnie, zachowałem się jak łobuz najadła się wstydu. Elegant... Wyjechał z tym mamisynkiem nie znając przecież losów Grzegorza, w gruncie rzeczy tańczył z Krystyną tak jak wszyscy, nie spoufalał się, może tańczył tylko trochę częściej niż inni. Dobrze, że tam, gdzie poleciał, nic nie stało, nic się więc nie potłukło. Miał się rozmówić z Krystyną. Gdyby nie ta cholerna historia, wracałby teraz z Krystyną. Chciała mieć dzisiaj szum w głowie. Przed jej domem zapytałby, co o nim myśli, czy nie uważa... Załatwił sprawę od ręki, raz dwa, i po wszystkim.

Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

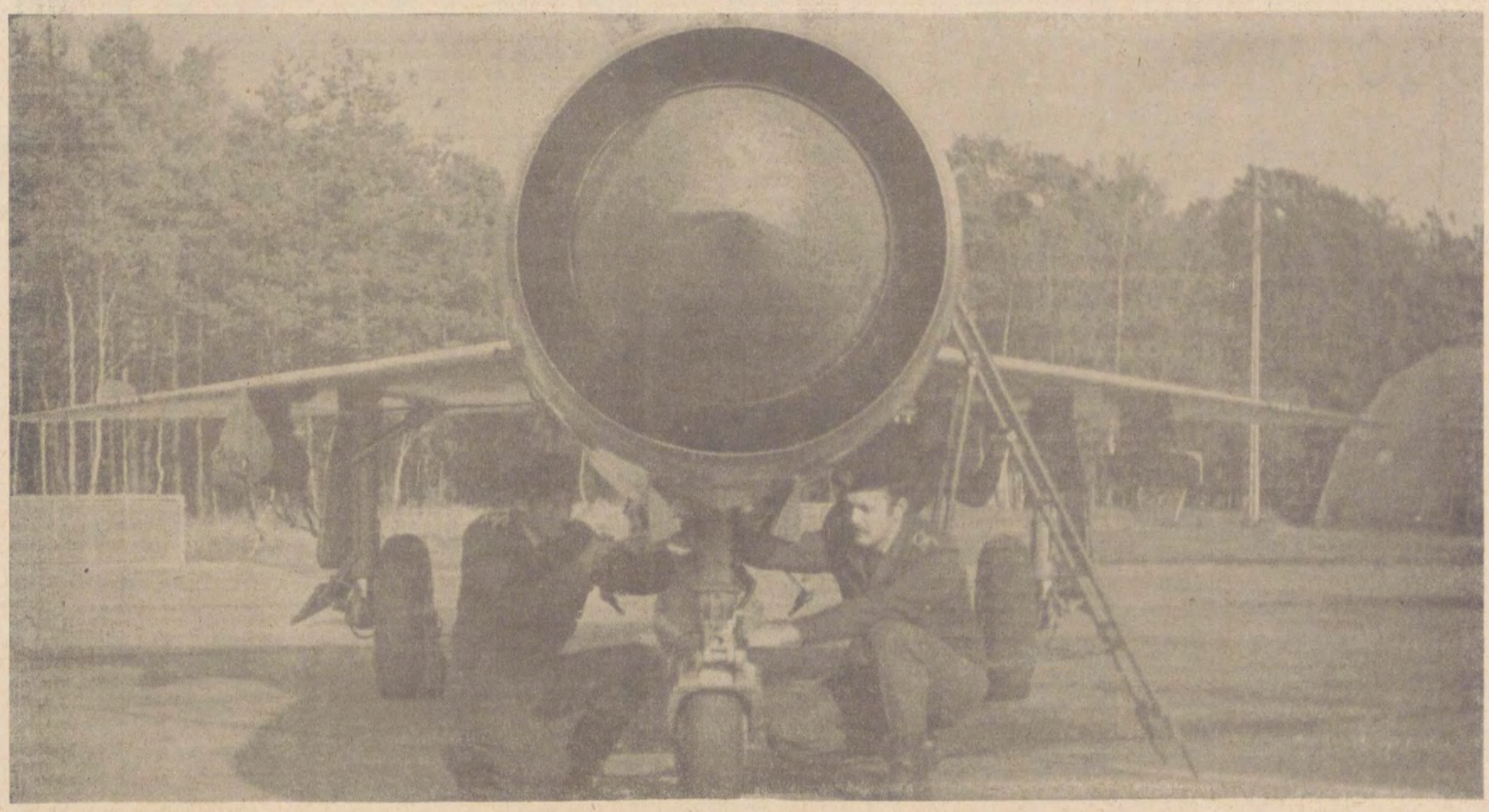

Przegląd samolotu przed lotem. *Foto: Archiwum*

NASZE LUDOWE

Dalszy ciąg ze str. 1

January Mura dwadzieścia lat temu przybył do jednostki, w której i dzisiaj służy, przekazując wiedzę i doświadczenie swoim młodszym kolegom. Był początkowo instruktorem, potem starszym pilotem, dowódcą klucza, nawigatorem eskadry, obecnie pełni funkcję szefa strzelania powietrznego jednostki i jest oblatywaczem samolotów.

Ppłk January Mura — wynika to z relacji jego kolegów — jest człowiekiem, który nieustannie chciałby siebie sprawdzać. W zasadzie uznaje dwa żywioły: powietrze i wodę. Posiada licencję sternika jachtowego i po cichu marzy, że kiedy przejdzie na zasłużoną emeryturę (co niebawem nastąpi), chciałby wyruszyć w rejs dookoła świata. Na męską przygodę — powiada — nigdy nie jest za późno. Do tego uprawia narciarstwo i zajmuje się motoryzacją.

Zanim więc wyląduje mój 115, staram się dowiedzieć coś więcej o historii jednostki bojowej, do której trafiłem. Okazuje się, że jest ona długa i pełna chwały, posiada własną piękną kartę tradycji i jest związana z powstaniem naszych sił zbrojnych. Dokładnie we wrześniu 1944 r., na ziemi radzieckiej, we wsi Karłówka koło Charkowa, zostaje powołana jednostka lotnicza, wchodząca w skład 3 dywizji lotnictwa myśliwskiego 1 polskiego pułku lotniczego. Dowodził nią mjr Kozewnikow, jej stan osobowy liczył 128 polskich pilotów i techników. Pułk składał się z trzech eskadr po dwanaście samolotów JAK-9 oraz pododdziałów zabezpieczenia bojowego. Piloci z tego pułku walczyli o przełamanie Wału Pomorskiego i zabezpieczali działania bojowe I Armii Wojska Polskiego. A potem był Berlin, niezliczone walki powietrzne, czyny bohaterskie i akty bezprzykładnej odwagi, za co cała dywizja została odznaczona Krzyżami Grunwaldu III klasy, otrzymując także miano „Brandenburskiej". Odznaczono wówczas także 65 oficerów, podoficerów i szeregowców medalami „Za zwycięstwo nad Niemcami" i „Za Berlin".

Po ustaniu działań wojennych żołnierze i oficerowie tego pułku czynnie uczestniczą w walce o utrwalenie władzy ludowej w Polsce, biorąc udział w zagospodarowywaniu Ziem Odzyskanych, w referendum i w pierwszych wyborach do Sejmu. Na zachowanych zdjęciach z tamtych dni można obejrzeć ludzi w mundurach lotniczych pomagających przy siewie, lub pracujących nad odbudową zniszczeń wojennych.

Potem następuje praca i szkolenie już w warunkach pokojowych. Ale niebo nad Polską nadal wymaga ochrony. W miejsce JAK-9 są JAK-23, później Migi-15. Pułk zawsze zajmował pierwsze miejsce w szkoleniu młodych pilotów, zdobywał wysokie lokaty za świetne wyszkolenie bojowe, wyróżniał się w pracach na rzecz społeczeństwa. W pięknej Izbie Pamięci można dziś obejrzeć dziesiątki fotogramów setki dyplomów, pucharów i odznak przyznanych pułkowi za wyszkolenie bojowe i wysokie walory osobiste jego pilotów.

W pojęciu przeciętnego człowieka lotnictwo kojarzy się z przygodą, romantyką wysokości i pokonywaniem przestrzeni będącej między ziemią a niebem. Dla pilotów wykonujących po kilka lotów ćwiczebnych dziennie jest to ciężka wyczerpująca praca, która wymaga ogromnej wiedzy, kondycji fizycznej i wytrzymałości psychicznej. Kabina dzisiejszego samolotu przypomina niezwykle skomplikowane laboratorium, pełne zegarów, chronometrów, przycisków, dźwigni, pedałów, cięgieł, itp. Wszystko to migа drga, jest w nieustającym ruchu, wymaga obsługi, absorbuje ręce, nogi i uszy. Maksimum koncentracji i szybkość decyzji są warunkiem powodzenia. Samolot przekraczający barierę dźwięku nie pozostawia czasu do powolnych namysłów i analiz: podejmowanie decyzji odbywa się automatycznie, w ułamkach sekund, bowiem w ciągu tego ułamka sekundy samolot pokonuje znaczną przestrzeń i powstaje kolejna potrzeba podjęcia nowej decyzji.

Zanim wyląduje 115, swoje loty w dniu dzisiejszym zakończył ppłk pilot I klasy, **ROMAN IWANOW**, nawigator jednostki oblatywacz samolotów także zarażony bakcylem latania bodaj w wieku niemowlęcym, gdyż jak sam twierdzi, dziś nie pamięta, kiedy się to zaczęło. Jako chłopiec zajmuje się modelarstwem, potem szybownictwem (zdobywa srebrną odznakę i zostaje instruktorem aeroklubu). W 1953 roku zostaje powołany do wojska i trafia do Technicznej Szkoły Wojsk Lotniczych w Zamościu, ale w trakcie nauki, na pierwszym roku zgłasza się do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Radomiu. Jego droga jako pilota jest podobna do tej, jaką przeszedł ppłk January Mura: a więc instruktor na samolotach odrzutowych, dowódca klucza, nawigator eskadry, nawigator jednostki. W dniu w którym odwiedziłem pułk, ppłk Roman Iwanow wykonał pięć lotów. Na pytanie, czy czuje zmęczenie, odpowiedział, że nie, że przez tyle lat nauczył się nie zauważać zmiany stanu samopoczucia. Po prostu czuje się świetnie. Przywiązanie do wyuczonego zawodu jest tak silne, że gdyby przyszło — powiada — rozpoczynać po raz drugi drogę życiową, niechybnie wiodła by ona poprzez szkołę lotniczą.

Czas wolny od służby ppłk **Roman Iwanow** poświęca drugiej pasji swego życia: elektronice. Kiedyś, bardzo chciał zostać krótkofalowcem i będąc już pilotem ukończył Technikum Elektroniczne. Niestety, dla niego także podział czasu jest źle pomyślany: 24-godzinna doba jest za krótka. Nie ma czasu na śledzenie przy krótkofalówce. Toteż zajął się, jak sam mówi, „majsterkowaniem". No i „zmajsterkował" organizatora elektronicznego, który znalazł natychmiast zastosowanie w lotnictwie. Ten jego wynalazek był wystawiany na wszystkich możliwych wystawach racjonalizatorskich w kraju. W domu posiada, wśród innych własnych konstrukcji, zegar elektronowy, wskazujący czas z dokładnością do 3 sekund na rok.

A w międzyczasie wykołowuje na pas startowy coraz to nowa para odrzutowców. Drży ziemia, w falującym rozpalonym powietrzu ulegają deformacji samoloty i ludzie, budynki i las. Zanim otrzymają pozwolenie na start będące w górze maszyny wykonają ostatni przelot przed lądowaniem. I tak ciągle: dwa w powietrzu, dwa gotowe do startu. Kiedy wysoko na jasnym tle jesiennego nieba pojawia się malutki punkcik samolotu i z nagłym przechyłem zaczyna pikować nad lotniskiem, u człowieka oglądającego ten manewr po raz pierwszy pojawiają się ciarki na skórze. Wrażenie jest potężne: samolot rośnie w zastraszającym tempie, w ułamku sekund jest już tuż-tuż. Rozlega się seria, fontanny piasku wzbijają się na wysokość wielopiętrowego domu. Cel naziemny został zniszczony!

Kiedy tam, wysoko, przemykają — wykonując codzienne ćwiczenia samoloty — nad bezpieczeństwem polskiego nieba nieustannie czuwa para dyżurna, gotowa na sygnał w ciągu paru minut wznieść się w powietrze. Dwaj piloci pełnią swój dyżur bojowy. Czekają. Przecież w każdej chwili może nadejść rozkaz do lotu. Dziś dyżurują mjr **Zygmunt Zielonka** i kpt. **Walenty Giegiel**. Nie doprawdy w tej pięknej pracy nie ma nic z romantyki książek Janusza Meissnera czy urzekającego uroku opowieści Antoine de Saint-Exupery.

— 115, ja Wenus, cel przed tobą w odległości 20 kilometrów.

— Ja 115, cel widzę.

— 115, ja Wenus, zezwalam atakować.

— Ja 115, odległość nakazana, odpalam rakiety.

— 115, ja Wenus — woła Ziemia w eter. — Cel został zniszczony. Kurs 320, odległość do domu 25 km.

— Ja 115, zrozumiałem.

Za chwilę spotkam się z bohaterem mojego reportażu, pilotem zakodowanym cyfrą 115. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że głównymi postaciami mojej opowieści o garnizonie lotniczym są zarówno ci, co dowożą paliwo do samolotów, ci, którzy zabezpieczają i ubezpieczają loty, jak i wszyscy piloci, z którymi rozmawiałem tego cienkiego, jesiennego dnia. I choć nie znam wyników i ocen za dzisiejsze strzelanie, są one na pewno dobre i wysokie. Przecież jest to przodująca jednostka w naszych Wojskach Obrony Powietrznej Kraju.

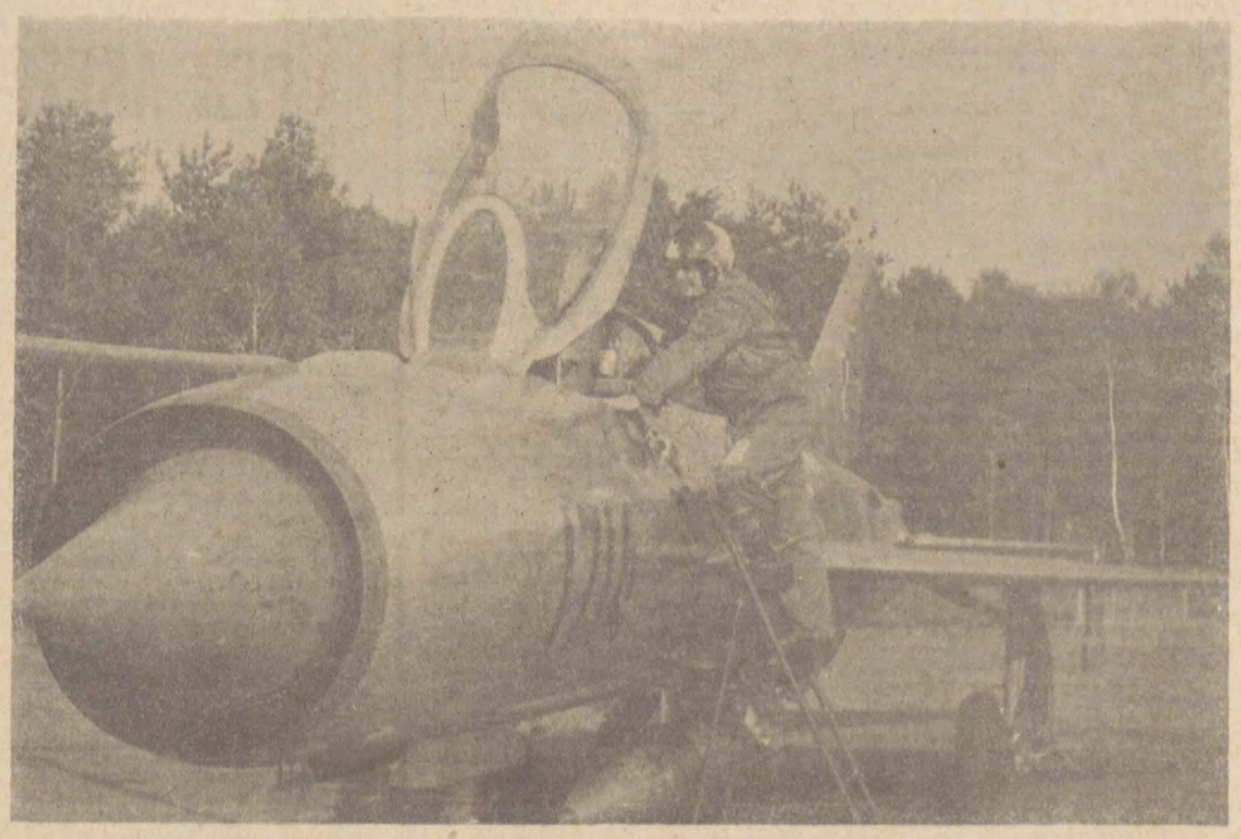

Foto: Archiwum

Ppłk. pilot klasy mistrzowskiej January Mura za chwilę wystartuje do wykonania zadania bojowego.

EUGENIUSZ IWANICKI

OGÓLNOPOLSKA...

W ŁODZI

Z doc. STANISŁAWEM KUSZEWSKIM rektorem PWSFTviT im. Leona Schillera w Łodzi rozmawia Konrad Frejdlich

— Panie Rektorze. W bieżącym roku Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera w Łodzi obchodzi 30-lecie istnienia. To piękny jubileusz. Zamiast jednak pytać o początki, o pierwsze dni istnienia Szkoły, wolałbym usłyszeć, co wynika z faktu, że jej patronem był ten wybitny artysta teatru?

Mógłbym spróbować odpowiedzieć na to pytanie tak jak wypada to uczynić z okazji jubileuszu, a więc powołać się na motywacje artystyczne jego twórczości teatralnej wymagające kontynuacji to jest choćby społeczne jej przesłanie — myślę tu zwłaszcza o ostatnim okresie działalności Leona Schillera — a także na jej głębokie związki z narodową tradycją teatralną.

Sam należę do pokolenia, które miało możliwość oglądania kilku wybitnych inscenizacji bądź to autorstwa samego Schillera, bądź też ich replik wykonywanych przez uczniów mistrza. A wyróżniał się Schiller znakomity słuchem teatralnym, co pozwalało mu uzyskiwać znaczące rezultutay w gospodarowaniu przestrzenią sceniczną i czasem. Ta część jego spuścizny, w odmiennym materiale i przy odmiennych koncepcjach teatru stanowiła, jak sądzę, inspiracje dla wielu spektakli Świnarskiego, Dejmka czy Hanuszkiewicza.

Można by także wypowiedzieć tę gorzką refleksję, że w naszym aktualnym życiu artystycznym nadanie jakiejś instytucji imienia określonego patrona jest prawie wyłącznie uznaniem jego zasług poniesionych w przeszłości. Rozmowy o jakimkolwiek dziedzictwie nie są dziś modne ani łatwe.

— To prawda, ale mnie chodzi o to, w jakim stopniu to dziedzictwo Schillera odbija się na kształcie Szkoły?

Przywołanie Schillera jako patrona Szkoły było kiedyś, jak się wydaje, wyrazem nie tylko deklaracji arystycznej co rodzajem rekompensaty dla drugiej łódzkiej szkoły teatralnej, która — po fuzji z Wyższą Szkołą Filmową — utraciła uprzednią autonomię, a wyryty w kamieniu napis pod popiersiem artysty w budynku rektoratu zawiera... nieścisłość historyczną. Leon Schiller był pierwszym rektorem... obecnej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Zorganizowana w Łodzi, została następnie przeniesiona do stolicy, gdzie nadano jej, jak wiadomo, imię Aleksandra Zelwerowicza.

Kiedy powstawała Wyższa Szkoła Filmowa w Łodzi, Schiller w tym nie uczestniczył. Takie są fakty.

Nie zmienia to naszego szacunku do dorobku twórcy, ani poglądu na żywotność jego artystycznej spuścizny.

— W czasach, gdy powstawała Szkoła, trudno byłoby przywołać polskiego patrona ze świata filmu, który znajdował się wtedy jeszcze w powijakach. To nam uprzytomnia skalę, bo dziś nie byłoby już chyba takich kłopotów. Przecież nagrodzie za debiut roku patronuje absolwent Szkoły, przedwcześnie zmarły artysta, Andrzej Munk. W tym, co powiedziałem, zawiera się już część odpowiedzi na pytanie: jaki wpływ wywarła Szkoła na rozwój polskiego filmu? Stawiam je Panu Rektorowi.

Im głębiej próbuję analizować ten problem, tym trudniejsza wydaje mi się odpowiedź. Powszechnie wiadomo, że około 90 proc. twórczych pracowników kinematografii polskiej (mowa o reżyserach i operatorach), a także znaczna część kadry realizatorskiej Telewizji to absolwenci Szkoły. Również wśród gwiazd aktorskich filmu polskiego wyraźną przewagę mają nasi wychowankowie.

Na pewno aktem niezwykłej ważności jest rekrutacja. Spośród setek kandydatów wyławia się co roku nieliczną grupę osób uzyskujących określone szanse startu. Pomyłki rekrutacyjne trudno jest naprawić i wtedy, kiedy przyjmuje się kandydatów mało uzdolnionych i wtedy, kiedy — być może — nie umie się dostrzec talentu.

Ale nawet jeżeli talent oceniany jest prawidłowo, o jego rozwoju decyduje wiele czynników nie zawsze od Szkoły zależnych. Na początku aktualne warunki materialno-techniczne i jakość kadry nauczającej, później popyt na młode kadry twórcze w danym okresie rozwoju kinematografii czy telewizji, wreszcie płodność tendencji artystycznych premiowanych przez samą kinematografię czy też ośrodki opiniotwórcze.

Jeżeli skuteczność działania **Szkoły** spróbujemy ocenić według nazwisk absolwentów, którym udało się osiągnąć sukces, okaże się, że istnieje asymetria pomiędzy oceną sprawności działania Szkoły jako instytucji w różnych fazach jej istnienia i oceną jakości poszczególnych roczników.

Gdyby jednak nie było Łódzkiej Szkoły — nie mielibyśmy takiej kinematografii jaką mamy.

— Skoro więc istnieje związek między stanem kinematografii a działalnością uczelni, warto mimo wszystko zastanowić się, jaki wpływ (czy współudział) posiada Szkoła w kształtowaniu indywidualności artystycznych. Innymi słowy — czy jest to w swoim założeniu Szkoła Geniuszy czy też Szkoła Rzemieślników.

Wybitny talent pojawia się wówczas, kiedy u konkretnego osobnika następuje stowarzyszenie szczególnych dyspozycji psycho-fizycznych z wytrwałym dążeniem do własnej ekspresji w danej dziedzinie twórczości. Nie ma jednak wybitnego talentu poza sferą konkretnej rzeczywistości artystycznej. Mówiąc najprościej: inne były niezbędne dyspozycje do wypowiedzi w filmie niemym, inne są w dźwiękowym, inne były w filmie czarno-białym, inne są w barwnym, inne są konieczne dla tradycyjnego typu narracji, inne dla kina awangardowego.

Wybitny talent realizuje się wówczas, kiedy konkretne dyspozycje określonego osobnika natrafiają na pomyślną dla nich koniunkturę artystyczną.

Kino jako sztuka znajduje się w ciągłym ruchu i nikt nie może przewidzieć jakie walory będzie preferowało za osiem lat to jest wtedy, kiedy przyjęci obecnie na studia kandydaci osiągną pierwszy próg twórczej dojrzałości. Wystarczy jeden wynalazek techniczny, aby dokonała się gruntowna zmiana potencjalnych wartości w grupie artystów filmowych.

W tych warunkach jedyny racjonalny sposób działania polegać może przede wszystkim na respektowaniu indywidualnego procesu rozwojowego każdej osobowości, a także na przyswojeniu studentom takiej wiedzy i umiejętności, bez których — w żadnych okolicznościach — nie mogliby wypowiedzieć się w sposób warsztatowo kompetentny.

Twórczość to proces przezwyciężenia przez artystę oporu materii. Do tego niezbędne jest poznanie jej właściwości.

— To są założenia ogólne...

Uczymy więc warsztatu, ale nie jesteśmy szkołą rzemieślników. Staramy się tak uczyć warsztatu, aby jednocześnie wywołać u studenta potrzebę myślenia na własny rachunek, poszukiwania własnej drogi i własnego stylu. Nauka warsztatu nie jest celem, ale środkiem do celu.

Kiedy rozpoczynałem pracę w Szkole, a było to przed sześciu laty, wśród studentów dominowało przekonanie, że są ludźmi dojrzałymi i ukształtowanymi, nie przyszli tu po to, aby się czegoś uczyć, ale aby sprawdzić się w konkretnym materiale. Kult pomysłu eliminował niemal całkowicie problemy warsztatowe. Niestety, wyznawcy omawianej zasady stanowią podstawową klientelę członków Koła Młodych SFP oczekujących bez powodzenia na pracę. Dziś jest inaczej. Studenci już wiedzą, że uczenie się jest niezbędne także artyście.

— Łódzka Szkoła kojarzy się przeciętnemu Polakowi z przymiotnikiem: filmowa. Wiemy, że w Łodzi kształci się także kadry dla telewizji, zresztą reżyser musi być coraz bardziej wszechstronny ze względu na rozwój naszych technik. Rodzi się więc pytanie o związki między filmem a telewizją. I czy przymiotnikowi „filmowa" nie grozi zdominowanie przez przymiotnik „telewizyjna".

Foto. W. Parys

Jean Renoir zapytany kiedyś z jakiego powodu znalazł się w telewizji odpowiedział: „Nie było żadnego powodu, poza głębokim przeświadczeniem, że znaleźliśmy się w epoce, w której środki ekspresji zaczynają odgrywać coraz mniejszą rolę... Sprawą zasadniczą jest znalezienie tego, co chce się zakomunikować, niezależnie od tego, czy instrument, którego się używa w tym celu, jest piórem, długopisem, maszyną do pisania, kamera filmową, telewizyjną, tam-tamem czy jeszcze czymkolwiek innym...".

Była w tej deklaracji widoczna postawa, nieobca także części naszych filmowców, pewnej, nazwijmy to, pobłażliwości wobec dziedziny uważanej tylko za nowy sposób rejestrowania i wyświetlania filmów.

Prawda, że najważniejsze jest to, co chce się zakomunikować, trzeba jednak w tym celu panować nad instrumentem mającym przecież swoje odrębne właściwości.

Musieliśmy wyciągnąć wnioski z faktu, że dla wielu artystów filmu polskiego telewizja okazała się wdzięcznym polem pracy twórczej.

W naszej dydaktyce sprzęt elektroniczny spełnia przy tym podwójną rolę. Uczymy nim telewizji, ale uczymy przede wszystkim podstaw inscenizacji filmowej. Dzięki kamerze filmowej i monitorowi efekt ćwiczenia jest natychmiast widoczny i dla studenta, i dla pedagoga, co poważnie zwiększa efektywność procesu nauczania.

Byliśmy jednak i będziemy przede wszystkim szkołą filmową. To sprawa nie tylko tradycji Szkoły, ale także i faktycznych możliwości zatrudnienia naszych absolwentów.

Uczyniliśmy sporo, aby pomóc telewizji w dokształceniu jej kadr twórczych. Efekty tego widoczne są na małym ekranie, zwłaszcza w zakresie jakości estetycznej obrazu. Wiele wskazuje na to, że zadanie to możemy uważać za zakończone. Cieszy nas powstanie wydziału radiowo-telewizyjnego na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Mamy nadzieję — odciąży on nas od dalszego wykonywania tego obowiązku.

— Oddychamy z ulgą, bo słusznie, czy nie, uważa się przecież, że aspiracje artystyczne sztuki filmowej są grubo wyższego lotu niż telewizji porównywanej często z gazetą. Tradycja wiąże zresztą łódzką Szkołę z filmem, a tradycje trzeba szanować. Ale powstaje pytanie: jaki wpływ na oblicze ideowe Szkoły ma jej lokalizacja w naszym mieście?

Łódź jest ośrodkiem kulturalnym w którym, jeśli tak rzec można, dominuje klimat pracy konstruktywnej. Jest to bardzo potrzebne naszej Szkole. Cenimy sobie ogromnie, życzliwość i pryncypialność zarazem, łódzkiej instancji partyjnej. Cennym partnerem w kształtowaniu postaw naszej młodzieży są łódzkie zakłady pracy, zwłaszcza Zakłady im. Obrońców Pokoju i Dywilan, a także łódzkie wytwórnie filmowe.

Głównym kapitałem Łodzi są ludzie, z jakimi tu się spotykamy. Szkoda tylko, że tempo rozwiązywania dylematów tego miasta nadal znacznie odbiega od pilnych potrzeb.

Inne ośrodki miejskie, startujące z wyższego pułapu, są w tym zakresie w znacznie korzystniejszej sytuacji.

Od innych wyższych uczelni łódzkich różniliśmy się tym, że byliśmy, jak dotąd, jedyną w kraju Szkołą o takim profilu, stąd kadra naszych pedagogów w znacznej mierze pochodzi z importu, a faktyczna nasza odległość od stolicy jest mniejsza niż by to mogło wynikać z układu geograficznego.

Zresztą filmowcy to plemię koczownicze. Niezależnie od stałego zameldowania miejscem ich pracy jest cały kraj, a podróże stanowią poważną pozycję w bilansie ich czasu.

I taką Szkołą chcielibyśmy pozostać — ogólnopolską wyższą uczelnią z siedzibą w Łodzi. Zapewne miastu więcej się od nas należy. Nie mielibyśmy też nic przeciwko temu, aby i nam się więcej należało od miasta, chociaż wiemy jak wiele, także i w innych dziedzinach, pozostaje tu do zrobienia.

— Wspomniał Pan Rektor, że filmowcy są urodzonymi koczownikami. Dojazdy kadry nauczającej komplikują chyba jednak działalność Szkoły?

Dojazdy do Łodzi nie ułatwiają pracy sporej części pedagogów. Ta niedogodność spełnia jednak również ważne funkcje selekcji pozytywnej. Nasza kadra składa się z wielu czołowych artystów polskiego filmu i teatru, składa się także z takich, którzy — być może — nie odnieśli dotychczas wybitnych sukcesów w działalności artystycznej, jednak dobrze znają swój zawód i potrafią go nauczyć. Jednych i drugich łączy traktowanie pracy w Szkole w kategoriach powinności obywatelskiej.

To w sumie kolektyw zasługujący na wysoką ocenę zarówno pod względem merytorycznych kompetencji jak i autentycznego uspołecznienia.

— A jakie Szkoła zamierza uruchomić nowe kierunki, by lepiej zaspokajać społeczne potrzeby w dziedzinie kultury?

Jeszcze w październiku rozpocznie się nauczanie na Zocznym Studium Scenariuszowym. Kiedy, z okazji jubileuszu, penetrujemy dawne dokumenty, przypominają nam one, że idea nauczania scenarzystów istniała w Szkole od pierwszych chwil jej działalności. Trzeba jednak było aż trzydziestu lat, aby ją urzeczywistnić. Zgłosiło się na to studium ponad 200 kandydatów. Możemy przyjąć 15. Już dziś można powiedzieć, że jakość nadesłanych prac przewyższyła znacznie nasze oczekiwania.

Od lutego 1979, a więc od drugiego semestru, zamierzamy uruchomić, także po raz pierwszy w kraju, zaoczne studium reżyserii montażu filmowego.

Otwarcie tych kierunków jest wyrazem naszych starań o zaspokojenie nabrzmiałych już potrzeb polskiej kinematografii. W przyszłości zamierzamy je przekształcić w stacjonarne studia dzienne na poziomie magisterskim.

Oczekujemy również na powołanie w Szkole Instytutu Teorii i Historii Filmu i Telewizji jako placówki naukowo-badawczej dla doskonalenia metodyki nauczania filmowego oraz badań w zakresie warsztatu twórczego, nie uprawianych dotychczas przez ośrodki uniwersyteckie. Ponieważ nikt nie wytwarza potrzebnej nam myśli teoretycznej, musimy ją budować sami, także i dla przyszłych form wyższego i pomaturalnego szkolnictwa filmowego, jakie niewątpliwie będą rozwijać się w kraju.

Powołanie Instytutu pozwoli nam urealnić i rozwinąć współpracę z Uniwersytetem Łódzkim, co wzmocni w perspektywie rangę Łodzi jako ośrodka spełniającego w tej dziedzinie w kraju rolę wiodącą.

Oczekują nas w tym roku dyskusje na tematy struktury uczelni na najbliższe kilka lat. Opóźnienie w realizacji programu rozwoju kinematografii, jak również brak poważnej oferty pod adresem naszych absolwentów ze strony Komitetu do spraw Radia i Telewizji, co spowodowało w sumie przejściową nadprodukcję kadr reżyserskich i operatorskich, skłania nas do ograniczenia naboru na te dwa kierunki, przy jednoczesnym wykorzystaniu obecnego w Szkole potencjału dla szerszego dokształcania kadr już pracujących w kinematografii.

Pozwoli to nam również na przegrupowanie sił niezbędne do podjęcia takich zadań jak na przykład nauczanie reżyserii filmu animowanego (dawny postulat i wytwórni filmowych i wyższych szkół plastycznych posiadających specjalność „film animowany") podjęcie studiów zaocznych dla tak zwanych adeptów teatralnych, studiów dla organizatorów pracy teatralnej, czy wreszcie uruchomienie — na bazie doświadczeń dydaktycznych wydziału operatorskiego — kierunku fotografia artystyczna i reklamowa. Trzeba z tego dokonać wyboru i sukcesywnie przystępować do podejmowania kolejnych inicjatyw.

Jedno jest pewne: pracy nam nie zabraknie. Byle starczyło sił i możliwości.

— Plany są więc bardzo bogate i wypada tylko życzyć, żeby zostały zrealizowane w możliwie najpełniejszym kształcie. Ale są to sprawy na przyszłość, jubileusz zaś wprost prowokuje pytanie: co było najważniejsze w 30-letnim istnieniu Szkoły?

Najważniejsze jest trwanie Szkoły. Wobec tego, co mówiliśmy o talentach, ponieważ nigdy nie wiadomo kiedy pojawią się te najcenniejsze i kiedy najpilniejsza będzie na nie potrzeba, trwanie Szkoły w czasie jako zbioru szans gotowego w każdej chwili stworzyć warunki dla rozwoju talentu, stanowi dobro społeczne, którego wartość trudno jest przecenić.

Drugą sprawą najważniejszą jest to, że dzięki mądrości naszej polityki kulturalnej oddano tę Szkołę od początku w ręce ludzi bezpośrednio związanych z twórczością artystyczną.

Dziś wydaje się to oczywiste, tymczasem pewne przykłady, zwłaszcza zagraniczne, uczą, że mogło być inaczej, mogli ją, na przykład, zdominować inżynierowie, chemicy, ekonomiści, bądź też erudyci biegli w formułach semiotyczno-strukturalnych. Tylko, że wtedy nie mielibyśmy w naszej kinematografii Wajdy, Antczaka, Zanussiego, Trzosa-Rastawieckiego, Karabasza, Piwowskiego, Petelskich, Morgensterna, Kutza, Poręby, Bera, Chmielewskiego, Królikiewicza, Kieślowskiego, Skolimowskiego, Sobocińskiego, Zdarta, Kłosińskiego, Wieżana, Lotha i wielu, wielu innych.

— Dziękuję za tę rzeczową rozmowę.

PER ASPERA AD ASTRA...

Etiudy to właściwie ćwiczenia, które mają na celu doprowadzenie do perfekcji jakiegoś działania albo pokonania specyficznej trudności technicznej. Pamiętając o tym, że mamy do czynienia z dziełem zależnym, dalekim od doskonałości artystycznej czy choćby nawet skończonego kształtu, godzi się także pamiętać, że i szczegół zdradza mistrza, że z fragmentu łatwo można odczytać ideę całości.

Z takich chyba założeń wychodzą organizatorzy rozmaitych przeglądów, prezentacji a nawet konkursów (w międzynarodowej obsadzie) etiud filmowych nakręconych przez przyszłych reżyserów czy operatorów. Do publicznej konfrontacji swych dzieł dążą także sami autorzy. Nie tylko z nadmiaru dobrego samopoczucia czy braku krytycyzmu, albo też wybujałego ekshibicjonizmu, który tak nieodłącznie związany jest z wszelką twórczością. Publiczna projekcja etiudy pozwala przecież jej realizatorom poznać reakcje widza, zderzyć je z własnymi przewidywaniami i w przyszłości uniknąć błędów. Zresztą dzieło istnieje tylko publicznie, innej drogi nie ma.

Studenci Szkoły Filmowej w Łodzi, dla których realizacja określonych etiud jest ćwiczeniem na stopień od którego zależy zaliczenie, mają niejedną okazję zaprezentowania swych realizacji w gronie szerszym niż pedagodzy i koledzy z roku. Tradycyjnie już najciekawsze z nich pokazuje się publicznie z okazji corocznych Dni Szkoły. Niezależnie od tego wyróżniające się etiudy trafiają na przeglądy twórczości młodych w konkurencji już grubo szerszej, często międzynarodowej. To właśnie sprawiło, że zestaw etiud studenckich z ostatnich trzech lat, jaki miałem okazję zobaczyć ostatnio, był bardzo bogaty (parogodzinna projekcja) ale nie w pełni reprezentatywny. Cały szereg filmików znajdowało się poza krajem, inne znów akurat oglądały określone środowiska. Tym wszakże co mnie uderzyło, była nie tylko liczebna, ale chyba także i jakościowa przewaga dokumentu nad próbami fabularnymi. Świadczy to dobrze o indywidualności mistrza Kazimierza Karabasza, który potrafił zarazić młodych uprawianą przez siebie dziedziną twórczości. Na korzyść jego metod pedagogicznych trzeba zapisać także to, że etiudy, pochodząc z określonej szkoły, zachowują przecież w pełni indywidualne rysy, że młodzież nie sili się, aby koniecznie robić pod profesora. Pozwala to uniknąć tej szalonej monotonii i sztampy, z którą spotykamy się na przykład

WADIM BERESTOWSKI

TAKI BYŁ POCZĄTEK...

Wspomnienia to przede wszystkim intymne zwierzenia z przeszłości. Zanim jednak do nich przystąpię, przedstawić chcę kilka faktów, bez których trudno by było dzisiaj zrozumieć to wszystko, co towarzyszyło powstaniu zjawiska, zwanego wówczas skromnie – WYŻSZE STUDIUM FILMOWE.

Wiosną 1947 roku w ogólnopolskiej prasie codziennej ukazało się niewielkie ogłoszenie następującej treści:

„Dyrekcja Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski" zawiadamia, że zostanie otwarte przy Łódzkim Instytucie Filmowym – Wyższe Studium Filmowe. Zajęcia z reżyserii filmowej i scenografii rozpoczną się dnia 1. X. 1947 r.

Podania oraz życiorysy należy składać w dyrekcji PP „Film Polski", Łódź, ul. Towarowa 64".

Wielki mit widowiska par excellence masowego, jakim jest kino, rozwinął się i istnieje przede wszystkim dzięki reklamie. Na reklamowanie filmów i zjawisk, które mu towarzyszą nie szczędziło się i nie szczędzi środków. Widz kinowy w okresie międzywojennym i w pierwszych latach po wyzwoleniu odbierał obraz filmowy przez pryzmat reklamy, reklamie wierzył i ona przede wszystkim kształtowała jego gust i zainteresowania.

Kino tamtych lat, nawet w Polsce, było zaprzeczeniem skromności, dlatego to małe ogłoszenie prasowe anonsujące jak później czas wykazał, wielkie wydarzenie naszej kultury, w ówczesnym społeczeństwie przeszło bez echa. Szary kinowy widz nie dostrzegł go, a tak zwany świat artystyczny przyjął sceptycznie, nawet niechętnie.

Sama idea zorganizowania stałej artystycznej uczelni w dziedzinie sztuki, która w Polsce międzywojennej nie dała ani jednego znaczącego dzieła, a która po wojnie dopiero zaczynała raczkować, uważana była za czystą utopię. Nikt by się do tego projektu, powstałego przecież jeszcze w okresie Lubelskiej Czołówki, nie ustosunkował poważnie, gdyby nie fakt, że próba utworzenia w Polsce Ludowej wyższej uczelni filmowej miała znaczenie polityczne. Na tej płaszczyźnie szkoła zyskała od razu cały szereg przeciwników widzących w niej raczej uczelnię polityczno-wychowawczą niż artystyczną.

Szkolnictwo filmowe w Polsce międzywojennej, oprócz kilku bardzo specjalistycznych kursów, prawie nie istniało, ale tuż po wojnie idea ta zakwitła nagle i z niespodziewaną siłą już w roku 1945. W maju tegoż roku, z inicjatywy reż. **Antoniego Bohdziewicza,** szefa sekcji filmowej „Rój" z okresu Powstania Warszawskiego i operatora **Stanisława Wohla,** zastępcy szefa komórki filmowej przy Pierwszej Armii utworzony został Warsztat Filmowy Młodych. Zaraz po nim, w połowie grudnia tegoż roku, powstał pod kierownictwem **prof. dr Stanisława Furmanika** kurs przysposobienia filmowego trwający do lipca 1946 roku. Na kurs ten przeprowadzono rekrutację i egzamin wstępny. Po ostrych eliminacjach spośród licznych kandydatów przyjęto 49 osób. Zajęcia praktyczne na kursie krakowskim prowadzili kolejno reż. **Antoni Bohdziewicz** i reż. **Jarosław Brzozowski,** teoretyczne — profesorowie krakowskich wyższych uczelni — **Roman Ingarden, Władysław Tatarkiewicz, Stefan Szuman** i inni.

Do Wyższego Studium Filmowego w Łodzi także ogłoszono rekrutację, o której mówiło wyżej wymienione ogłoszenie. W gmachu dyrekcji PP „Film Polski" przy ul. Targowej 61 dyrektor Studium, **Helena Wojciechowska** i prof. **Marian Wimmer** przeprowadzali wstępne eliminacje. Egzaminowali w większości wykładowcy z krakowskiego kursu. Bez egzaminów wstępnych przyjęto kilku słuchaczy krakowskiego studium, m.in. **Jerzego Passendorfera i Kazimierza Konrada** oraz kilku młodych pracowników ze stażem w kinematografii jako stypendystów FP, resztę — prawie czterdzieści osób — stanowili ludzie zupełnie nowi, zupełnie z filmem nie związani.

Dwa czynniki przyciągały do nowo powstałej uczelni. Po pierwsze Studium miało pozostać stałą placówką artystyczno-naukową o określonych ramach organizacyjnych i ustalonym programie zajęć. Po drugie — w czasie studiów w krakowskim instytucie słuchacze, oprócz wiedzy z teorii filmu, mieli możność sprawdzania swoich zdolności kręcąc małe etiudy filmowe na taśmie 16 mm. O tych filmikach **Wojciecha Hasa, Tadeusza Makarczyńskiego, Jerzego Kawalerowicza** i innych mówiono już w wąskim kręgu zainteresowanych. To rozpalało wyobraźnię. Łódzka szkoła obiecywała więcej. Według programu mieliśmy już na drugim roku zapoznać się z prawdziwą kamerą 35 mm, a w dalszych planach kręcić etiudy dźwiękowe. Poza tym program zapowiadał prace we własnych laboratoriach filmowych i fotograficznych, pracownie plastyczne, praktyki przy filmach oraz wykłady wielu fachowców zagranicznych.

Czegóż więcej trzeba było młodym zapalonym głowom? Byliśmy więc pełni nadziei. Mieliśmy się stawić dnia 1 października 1947 roku w byłym pałacu łódzkiego fabrykanta przy ul. Targowej 61. Tam też miały znajdować się nasze pracownie naukowe, atelier, laboratorium, sala projekcyjna i biblioteka, tam też mieliśmy mieszkać w wygodnych pokojach i jeść w doskonałej stołówce.

W rzeczywistości było wręcz odwrotnie, jak w kinie. Wykłady z powodu przedłużającego się remontu pałacu rozpoczęły się w lokalu zastępczym przy ul. Traugutta 8, w ciasnych, przystosowanych ad hoc pomieszczeniach, wygospodarowanych ze zwykłych mieszkań w czynszowej przedwojennej kamienicy. Dobrze pamiętam ten dzień, kiedy zbici ciasno w małych szkolnych ławkach z wypiekami na twarzy słuchaliśmy pierwszego wykładu z historii filmu wygłaszanego przez prof. **Jerzego Toeplitza.** Bracia Lumiere, Melies, Black Mary — pojęcia i fakty dziś znane i powszechne, wtedy, w tej salce, brzmiały jak bajkowe opowieści, pełne tajemnic i nieznanego uroku. Po Toeplitzu zainaugurował swoje wykłady prof. **Stanisław Wohl.** Mówił o zawodzie operatora, o jego blaskach i cieniach, nawiązywał do bardzo bliskich wtedy wspomnień wojennych, budząc ogólny zapał. Po Stanisławie Wohlu na katedrę wkroczył **Leon Wohl,** magister chemii, zawodowy wykładowca i chwilowo zgasił entuzjazm wzniecony przez poprzednika, zamieniając całą poezję filmu na chemię, fizykę i optykę, nauki bez których sztuka filmowa — co dopiero znacznie później zrozumieliśmy — w ogóle nie mogłaby istnieć.

Wykłady z dramaturgii poprowadziła **Regina Dreyer,** absolwentka moskiewskiego WGIK-u. Trzysta sytuacji dramaturgicznych, scaletta (drabinka), strzelba spokojnie wisząca na ścianie w pierwszym akcie, która strzela nagle w trzecim, adulter, romans mieszczański, epopea rewolucyjna, wątki równoległe, kulminacja, czas filmowy — nagle otwierały się nowe głębie i nowe światy. Obrazem można było pokazać wszystko, wydawało się to proste i oczywiste. Nikt tylko jeszcze wtedy nie myślał jak to zrobić. Pierwszą prawdą i pierwszym objawieniem dla tych najprawdziwszych w naszym kraju debiutantów w sztuce filmowej była kamera — w ich pojęciu wszechmogące narzędzie utrwalające ruchome obrazy świata.

Na dramaturgii filmowej i wykładach prof. **Bolesława W. Lewickiego** kończyły się nauki sensu stricto zawodowe — inne były zastępcze lub uzupełniające. Prof. **Marian Wimmer** prowadził wykłady i zajęcia z budowy dekoracji filmowej, **prof. Łyżwański** uczył malarstwa i kompozycji przestrzennej, **Marian Jaeschke** — literatury. Ktoś także uczył śpiewu i solfeżu, biegaliśmy na te ćwiczenia do Ludowego Instytutu Muzycznego na ulicę Jaracza. Tylko przez przypadek uniknęliśmy lekcji tańca, a szkoda.

Inni wykładowcy urządzali się dużo wygodniej. Pisarz **Marian Promiński,** który przyjeżdżał z Krakowa, wykładał literaturę wschodnią w apartamencie hotelu Savoy, **Antoni Bohdziewicz** zjawiał się od czasu do czasu na Traugutta, ale ponieważ czas już miał zajęty przygotowaniami do filmu „Za wami pójdą inni", chętniej konsultował się z nami u siebie, w mieszkaniu w domu literatów, przy dobrze zaparzonej herbacie.

Tak więc wyglądała w pierwszych tygodniach swojego istnienia nasza uczelnia. A jacy byliśmy my?

Dziwna i różnorodna była to mieszanina. Na prostych, ciasnych szkolnych ławkach siedzieli przyszli twórcy kinematografii, siedzieli obok siebie bardzo blisko, nie znając się jeszcze. Byli tam ludzie o różnych przekonaniach politycznych, wierzący i niewierzący, idealiści i marksiści, przy tym wiek ich wahał się między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. W ostatecznym rozrachunku decydowały przede wszystkim zdolności adepta i one — jak wykazała późniejsza praktyka — były jedynym miernikiem przydatności w zawodzie.

Siedzieli więc tam wtedy, wymienię ich w kolejności według kierunków, które później obrali: **Janusz Nasfeter, Jerzy Passendorfer, Witold Lesiewicz, Wadim Berestowski, Kazimierz Konrad, Ludgierd Romanis, Kurt Weber, Romuald Kropat i Władysław Nagy** — film fabularny, dalej dokumentaliści — trzech **Jurków Kaden, Chluski, i Jaraczewski, Tadeusz Jaworski** oraz **Zbigniew Rapiewski;** obecni seniorzy filmu oświatowego — **Jerzy Popiel-Popiołek, Jan Riesser, Sapiński, Mieczysław Vogt, Marceli Matraszek; Maria Olejniczak** i **Jerzy Twardowski** — dubbing, **Jerzy Kotowski** — film animowany; **Zofia Dwornik** — reżyser montażu; **Jan Rewkiewicz, Marek Nowakowski, Lech Pijanowski** — telewizja; **Jan Olejniczak i Zenon Filar** — zdjęcia trickowe.

Na Traugutta dotrwaliśmy do połowy stycznia 1948 roku i — co tu dużo gadać — mimo serdecznych starań zacnego grona wykładowców w przekazywaniu nam wiedzy o filmie nie czuliśmy się w tym okresie szczęśliwi. Jak już stwierdziłem, nie znaliśmy się, byliśmy sobie zupełnie obcy. Panowały między nami antagonizmy właściwe ludziom o różnych poglądach na świat, sztukę, filozofię, religię, zaostrzone jeszcze przez walkę klasową. Internat, który przez swoją formę stałego współżycia mógł temu zaradzić, był ciągle w sferze projektów. Mieszkaliśmy byle jak i byle gdzie. Mimo zapewnień z naszej strony, że kiedyś będziemy sławni, żadna z instytucji do których kołataliśmy, nie dopuściła nas do swoich stołówek.

Na niezgodę naszą, a raczej niezrozumienie, znalazł prosty sposób nasz pierwszy przewodniczący Bratniej Pomocy Studenckiej, kol. **Jerzy Popiel-Popiołek.** Zebrał nas w wigilię Bożego Narodzenia w jednej z sal wykładowych, zapalił ognie na małej choince i rąbnął od serca płynące przemówienie o konieczności zgody, miłości i braterstwa w służbie dla ludu. Potem, ze wszystkimi bez wyjątku podzielił się opłatkiem i takim efektownym zaskoczeniem, wiążąc tradycję z teraźniejszością, złączył serca najbardziej zwaśnione. Na brak jedzenia nie mógł jednak nic poradzić.

Charakteryzowała nas w okresie tego pierwszego semestru niezwykła „akademicka" chudość i bladość. Ubrani byliśmy źle i nie na miarę. Głównym dostawcą naszych strojów używanych battle-dressów, kurtek i plastikowego obuwia była UNRRA. Dodatkowym cementem rosnącej pomału między nami więzi była ogarniająca nas coraz bardziej frustracja. Nikt o nas nie chciał pisać, nikt nas nie chciał znać. Wszelkie próby penetracji do artystycznego środowiska spełzły na niczym.

Do sąsiadującego z nami klubu „Pickwick" na znaną szeroko wtedy morelówkę, preparowaną przez panią Axerową, nie mieliśmy wstępu. Na klub artystyczny, który mieścił się wtedy przy ul. Piotrkowskiej, nie mieliśmy pieniędzy. Całe miasto było nam jeżeli nie wrogie, to obojętne. A trzeba wiedzieć, że Łódź w tym okresie z trudem przeobrażała się z kapitalistycznej stolicy włókienniczego przemysłu w socjalistyczne miasto. Wystarczy sięgnąć dzisiaj do dzienników z tamtych lat.

Chociaż dopiero świeżo wykluci i do filmu pasowani jak rycerskie pacholęta do wojennego rzemiosła, mieliśmy już rywali. Studenci pierwszego roku PWSSP z wydziału scenografii filmowej coraz częściej interesowali się innymi działami filmu. Przychodzili na wykłady reżyserii i operatorki i, chociaż byli gośćmi, traktowali nas z wysoka. Byli przecież słuchaczami wyższej uczelni, my tylko studium.

Upragniony dzień przeprowadzki na ul. Targową do wyśnionego pałacu o ścianach wykładanych boazerią, hallu lśniącego kryształowymi lustrami i egzotycznego parku z szemrzącą fontanną nastąpił na początku drugiego semestru, w styczniu 1948 roku. Objęliśmy w posiadanie najpiękniejszy gmach PP „Film Polski", ale jakże jeszcze niegościnny, nieprzystosowany do tak rewolucyjnej zmiany. Internat i stołówka były dopiero w projekcie. Spaliśmy na parterze, w pokojach zajętych dzisiaj przez administrację. Pokoje, gdzie dzisiaj urzędują: rektor, dziekani wydziału reżyserskiego, gdzie mieści się sekretariat, i ten mały na rogu, gdzie przyjmują konsultanci — były sypialniami.

Sale wykładowe i pracownie urządzono w pokojach przylegających do sali projekcyjnej, która stała się centrum życia kulturalnego, towarzyskiego i politycznego. Tu oglądano filmy, tu przyjmowano gości odwiedzających szkołę i tu odbywały się pierwsze polityczne zebrania i masówki organizowane przez aktywizujące się koła PPR i ZWM (Życie).

Musieliśmy się uzbroić w cierpliwość i czekać. Ale życie ma inne prawa. W dodatku wątła struktura organizacji studiów, z takim wysiłkiem tworzona w pierwszym semestrze, zaczęła się nagle psuć. Wykładów było coraz mniej. Przepadli gdzieś wykładowcy muzyki, odszedł prof. **Marian Jaeschke,** przestał przyjeżdżać z Krakowa **Marian Promiński.** Wprawdzie podstawowe kierunki, takie jak historia filmu, nauka o sztuce operatorskiej, dramaturgia filmowa i filmologia trzymały się twardo i wykładowcy tych przedmiotów nie opuszczali nas w tych trudnych chwilach, chociaż porywał Toeplitz, zadziwiał i zastanawiał ciekawy i odważny nowator, Lewicki, to pustych okienek w planie zajęć było więcej niż pełnych i dni zaczynały się dłużyć.

Próbowano je wypełnić dyskusjami o filmie, które prowadzili młodzi wówczas dziennikarze, **Zbigniew Pitera** i **Jerzy Giżycki.** Było to na pewno bardzo pożyteczne, ale ani Pitera, ani Giżycki nie mieli zamiaru poświęcać dla nas życia. Przyjeżdżali więc z Warszawy raz w tygodniu. My, pozostawieni sami sobie, potrafiliśmy kino chłonąć tylko biernie, oglądaniem filmów i czytaniem, co się tylko dało, a było tego niewiele.

Któregoś dnia dyrektor Studium **Helena Wojciechowska,** odczytała nam w przerwie między projekcjami akt nadania nam praw szkoły wyższej. Od tego momentu nazwa uczelni brzmiała: „Wyższa Szkoła Filmowa". Na pamiątkę tego faktu powstał nawet okolicznościowy znaczek projektu **Romualda Kropata.** W niczym to jednak naszego życia i sytuacji nie zmieniło.

Wiosna 1948 roku, piękna i słoneczna, zmusiła nas do wyjścia w plener. Z dusznej sali projekcyjnej przenieśliśmy się z naszą pościelą do ogrodu. W ogrodzie kwitły rododendrony, magnolie, i inne egzotyczne kwiaty, niegorsze niż w Hollywood. Modne stało się opalanie. Wprawdzie oglądaliśmy mniej filmów, ale za to wyglądaliśmy zdrowiej. Wykładowców i wykładów ciągle nie przybywało. Gdzieś tam, na filmowej górce, zapomniano o nas. Wielkie projekty utkwiły w szufladach szybciej od nich rozwijającej się biurokracji. Interweniowaliśmy kilkakrotnie, ale bezskutecznie. Ktoś, zdaje się Jerzy Passendorfer, zdobył gdzieś kamerę 16 mm. Oblegaliśmy go w czasie zdjęć, ten chciał być wózkarzem, ów elektrykiem, trzeci znów aktorem, a Władzio Nagy operatorem. Nie były to jeszcze etiudy na poziomie krakowskim, ale zawsze.

Inauguracja pierwszego roku akademickiego w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi odbyła się 18 października 1948 roku. Przedtem jednak zapełnił się duży wielopokojowy internat na zapleczu gmachu, w ogrodzie. Ruszyła świetna, bezpłatna stołówka, którą matczyną ręką poprowadziła pani Miedlikowska. Otrzymaliśmy bezpłatną pralnię i liczne stypendia. Cześć kolegów wyjechała na studia do Pragi.

Wstąpili gremialnie do PWSF słuchacze wydziału scenografii PWSSP, między innymi **Jan Batory, Mieczysław Jahoda, Stanisław Wójtowicz, Stanisław Lenartowicz, Ewa Petelska, Nina Berestowska, Jadwiga Żukowska.** Zdali oni wszyscy na drugi rok studiów.

Na pierwszy rok przyszli: **Andrzej Wajda, Czesław Petelski, Konrad Nałęcki.** Z powodu braku miejsc w znacznie powiększonym internacie spali na waleta, jak dziś pamiętam, znani dzisiaj realizatorzy: **Roman Wionczek i Stefan Matyjaszkiewicz. Duduś Matuszkiewicz** od razu „udźwiękowił" cały gmach, ćwicząc na swoim saksbasie. **Witold Sobociński,** zanim wziął do ręki kamerę, namiętnie grał na perkusji, a **Andrzej Wojciechowski** na trąbce. Na nasz rok, który stał się od razu trzecim rokiem studiów, wstąpił po błyskotliwym egzaminie **Andrzej Munk.** Wzmocnił się także, i to bardzo, zestaw wykładowców.

Historię sztuki zaczął błyskotliwie wykładać **Władysław Strzemiński,** sztukę operatorską, obok **Stanisława Wohla,** poprowadził **prof. Jakowlew,** wykładowca moskiewskiego WGIK-u. Estetyki marksistowskiej i pracy z aktorem zaczął nas uczyć sprowadzony z Włoch, znany teoretyk neorealizmu włoskiego, **Umberto Barbaro.** Dziekanem wydziału reżyserskiego został **Eugeniusz Cękalski.** Umuzykalniano nas już nie w Ludowym Instytucie, ale dziedzinę tę objęli profesorowie — **Zalewski i Golachowski,** psychologię **prof. Korzeniewska.**

Zapowiedzieli przyjazdy z cyklami wykładów i słowa dotrzymali — **Leon Moussinac,** dyrektor paryskiego IDHEC, **Jean Painleve,** twórca artystycznego filmu oświatowego, **Wsiewołod Pudowkin i Grigorij Aleksandrow** z Moskwy.

Szkoła od razu zyskała międzynarodową renomę, którą cieszy się do dziś. I właśnie dlatego warto było wrócić we wspomnieniach do tamtych pierwszych, trudnych lat.

---

na wystawach malarstwa studentów szkół plastycznych, kiedy w zależności od roku studiów ich prace są najczęściej tylko pastiszami obrazów profesora.

Tam, gdzie wypowiedź ma charakter indywidualny, tam można już mówić o twórczości. Wśród etiud o charakterze dokumentalnym zwrócił uwagę swoją dojrzałością i sprawnością warsztatową na profesjonalnym poziomie „Program" Andrzeja Drążewskiego, o przygotowywaniu występu estradowego dla załogi wielkiego zakładu włókienniczego w Kaliszu. Jest to pretekstem do powiedzenia wielu rzeczy o samym zakładzie, a unika się publicystycznej interwencyjności. Choć oczywiście nie brak utworów o charakterze reportażu interwencyjnego jak choćby odważna i z pasją zrealizowana etiuda o Łódzkiej Fabryce Zegarów, pełna krytycznych akcentów doskonale udokumentowanych kamerą. Mniej ciekawe w swojej warstwie obserwacyjnej wydało mi się „Świadectwo dojrzałości" Krzysztofa Czajki. Oczywistości publicystyczne, które próbuje się ratować ironią, niósł reportaż Mirosława Azraczyńskiego z łódzkiej fabryki wódek pt. „Miej odwagę odmówić". Ale takie jest prawo filmowego plakatu, bo autor założył sobie, że jego filmik powinien działać uderzeniowo. Ciekawą próbą połączenia refleksji, liryki i pasji demaskatorskiej jest etiuda L. Wosiewicza „Non omnis", wspomnienie staruszki o mężu — alkoholiku, w którym okrucieństwo, może nawet przesadnie eksponowane przez realizatora, przeplata się z sentymentalizmem. Próbą obserwacji życia przy pomocy obiektywnej kamery jest „Miejsce" L. Wosiewicza, poświęcone opisowi pofabrykanckiego osiedla na Księżym Młynie. Inną próbą dokumentu, tym razem poświęconego problematyce kryminalnej jest obraz zatytułowany „Muchy", które są tu alergią rozkładu tradycyjnych więzi społecznych, a sam wątek kryminalny tylko pretekstem do wiwisekcji wsi. Trzeba wreszcie wspomnieć obserwację B. Jabłońskiej-Bartel pn. „Polowanie" nie wykraczającą ambicjami poza impresję myśliwską.

Już w tej króciutkiej prezentacji utworów dokumentalnych widać, że niektórym z nich nie brak ambicji poszukiwawczych, że chcą nie tylko rejestrować, ale także odkrywać zjawiska, co było zawsze cechą dobrej publicystyki. Tym co uderza, jest także fakt, że większość tych utworów rozgrywa się w wielkomiejskim pejzażu Łodzi. Aż dziw więc, że filmy profesjonalne tak rzadko stanowią powtórkę z tematu, tak rzadko widzimy w nich Łódź. Nie jest to zarzut, tylko konstatacja.

Zestaw etiud fabularnych był o wiele skromniejszy, ale i tu można chyba mówić o pewnych prawidłowościach. Uderza przede wszystkim marzenie o realizacji filmów autorskich, co dobrze świadczy o ambicjach, nie zawsze jednak o realnych możliwościach robienia takich filmów. Wśród etiud które obejrzałem nie było właściwie ani jednej adaptacji, wszystkie oparto na oryginalnych, własnych scenariuszach. I okazało się, że tu wyobraźni nie stało. Do kategorii banału trzeba przecież zaliczyć „Anioła stróża" Czołnowskiego, który nie potrafił nakreślić wzajemnej psychicznej zależności między prześladowanym a prześladowcą, co wniosłoby element jakiegoś ładu do powtarzających się do znudzenia obrazków. Ambitniejsze zadanie postawił sobie A. Drabiński, który świadomie operując estetyką brzydoty potrafił zbudować, w powolnej narracji, klimat jakiegoś nadrealnego rozkładu, a to już oczywiście niemało, zważywszy, że nie zawsze też sprawdzili się aktorzy. Doli roznosiciela mleka poświęcił swoją fabułę Robert Gliński. Jego „Gorączka mleka" ma niezłe partie obyczajowe, cała wszakże intryga grzeszy nieporadnością i naiwnością.

Może zresztą przykładam do tych wprawek zbyt surowe miary, ale nawet studentów należy traktować jak ludzi dorosłych. Zresztą swoim uwrażliwieniem na problematykę socjalną, swoim darem obserwacji dowodzą, że cechuje ich dojrzałość społeczna i odpowiedzialność za swoją pracę. Jeśli ta dojrzałość społeczna sprzymierzy się z dojrzałością artystyczną to będziemy mogli być spokojni o przyszłość polskiego filmu.

JERZY DARNAL

JERZY WILMAŃSKI

Reymont widziany z bliska...

Pozycja Władysława Reymonta w polskiej literaturze a zwłaszcza Nagroda Nobla sprawiają, że pisano o nim wiele i to zarówno za życia, jak i po śmierci. Jeszcze w roku 1914 powstała praca **Cz. Jankowskiego** pt. „Chłopi" Reymonta i krytyka niemiecka", potem studia, opracowania i monografie posypały się jak z rogu obfitości.

Nie jest jednak moim celem dokonanie jakiegoś historyczno-literackiego resumé. Zostawiając tę pracę specjalistom, chciałbym w tym krótkim szkicu pokazać Reymonta widzianego z bliska, takim jakim znali go jemu współcześni.

Postać Władysława Reymonta przewija się bowiem przez karty wspomnień i pamiętników nader często. Był człowiekiem towarzyskim; w przeciwieństwie do Żeromskiego, raczej mrukliwego, Reymont brylował towarzysko.

„Gościnność jego przechodziła w legendę" — wspominał **Adam Grzymała-Siedlecki** w swojej książce **„Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim"**, do której nie raz tu jeszcze wrócimy.

„Słynęły jego obiadki i kolacyjki, na których pani Reymontowa dawała dowody talentu kulinarnego, równego uzdolnieniom pisarskim jej męża. Żył nieustanną potrzebą obcowania z ludźmi. Jeśli tylko nie był zajęty pisaniem, lub, gdy tylko skończył dzienne swoje pensum, któremu poświęcał czas od wczesnych godzin rannych do trzynastej, najwyżej czternastej — natychmiast wypływał na świat, czy to na umówione już z kimś spotkanie, czy do kawiarni, gdzie niechybnie złowi miłe towarzystwo. Nie bez korzyści: gdy inni twórcy do zdefiniowania swoich idei dochodzić mogą tylko w odosobnieniu, autorowi „Ziemi obiecanej" myśli formowały się a nawet powstawały one najbujniej w temperaturze obcowania z ludźmi.

Gdy np. Żeromski mógł się w towarzystwie ożywiać, ale tylko wtedy, gdy to towarzystwo odpowiadało jego wymaganiom intelektualnym — zoon politikon Reymont dobrze się czuł w każdym środowisku ludzkim i z człowiekiem wszelakiego gatunku. Wszystko jedno kto: jego kolega po piórze, czy fryzjer w przygodnej balwierni; dorożkarz, który go do domu odwoził, czy członek Klubu Myśliwskiego, profesor uniwersytetu, czy przekupka ze Starego Miasta — z każdym umiał wdać się w pogwarkę, od każdego umiał wyciągnąć jakąś cenną dla siebie wiadomość i każdego sobą zainteresować. Nie umiał obojętnym przejść wobec czyjeś troski, czy utrudnienia życiowego — natychmiast śpieszy z pomocą, czy radą. Nie było dla niego ani „małych ludzi", ani małych spraw. Rozciekawiały go wszelkie drobiazgi, wszelkie wlókienka życia. Zanim zasiadł do swego „Roku 1794" — przez długie miesiące w bibliotekach publicznych wyszukiwał w gazetach XVIII w. wiadomości — o czym? O ówczesnych cenach rynkowych, o cenie korca żyta, o cenie funta mięsa, czy masła, łokcia płótna itd. „Bez dokładnej tego znajomości, nie mogę sobie odtworzyć powszedniego dnia bohaterów swojej powieści; muszę wiedzieć, jakimi dochodami mogli rozporządzać, ile mogli wydać, z jakiego materiału strój sobie sprawić, ile bez zrujnowania się w karty przegrać, do jakiej klasy traktierni zajść mogli, gdy ze wsi do Warszawy zajeżdżali — bez tego w ekonomicznej abstrakcji będą mi wisiały moje postaci".

Mawiano o nim, że fantazjuje, że nigdy nie wiadomo, ile jest w jego opowieściach prawdy, a ile zmyślenia. Prawda natomiast była taka, że Reymont po prostu żył nieustannie swoim pisarstwem, opowiadając w gronie przyjaciół jakąś autentyczną historię, automatycznie nasycał ją literacką fikcją, niejako „poprawiał" rzeczywistość. A jednocześnie „wchodząc" w fabułę pisanej książki, zaczynał żyć razem z jej bohaterami.

W pewnym momencie zacierała się u Reymonta autentyczność i fikcja literacka. Powstawał wówczas ten przedziwny, szlachetny stop, który nazywa się literaturą.

Wielce charakterystyczne jest tu zdarzenie z Bretanii we Francji, gdzie Reymont pisał „Chłopów". Opowiada żona pisarza, że pewnego wieczoru, gdy Reymont skończył opis wesela, nad którym niemal bez przerwy pracował kilka dni — po prostu padł bez sił, tak doszczętnie wyczerpany, że natychmiast sprowadzono lekarza.

Doktor, po zbadaniu pacjenta, zapytał: „Co pan robił, że się pan doprowadził do takiego stanu?".

Reymont odpowiedział: „Przez trzy doby bez przerwy tańczyłem oberka"

Nie powiedział: „Opisywałem tańczących oberka", ale właśnie „tańczyłem". Po prostu s t a w a ł się każdą ze swoich postaci, osobiście „wchodził" w akcję, przeżywał każdą opisywaną sytuację. Czyż nie jest w tym coś z teorii gry aktorskiej Konstantego Stanisławskiego?

Czemu jednak na scenie doznał Reymont niepowodzeń? Przecież zaczynał od teatru, poznał te ponure — chłodne i głodne — losy wędrówek teatralnych po prowincji. Bo Reymont, jako młody człowiek „zatruł się teatrem".

Adam Grzymała-Siedlecki pisze w **„Świecie aktorskim moich czasów"**, że stary Rejment, nie mogąc żadnym sposobem przymusić syna do nauki, wysłał „zakałę rodu" do swego zięcia Jakimowicza — majstra krawieckiego w Warszawie. Pan Jakimowicz, wszakże był namiętnym teatromanem, stąd też późniejszy laureat Nagrody Nobla, oprócz umiejętności krawieckich, wyniósł umiłowanie teatru.

Umiłowanie tak wielkie, że w końcu umknął młody krawiec spod opieki szwagra i ojca, aby pod nazwiskiem Urbański wyruszyć szlakiem wędrownych szmir. Klasyczny przykład zaczadzenia teatrem! Trzykrotnie próba jakichś innych zajęć — i trzykrotnie potajemna ucieczka do „komediantów". A przecież nie ujawnił talentu aktorskiego i ostatecznie skończył w Kielcach na stanowisku suflera.

„Choćby w budzie suflera, ale przy teatrze gnić" — jak sam po latach określał swoją młodzieńczą pasję. I dopiero jakiś zbawczy refleks samokrytycyzmu, czy może powstałe poczucie w sobie pisarza, wyciąga go z teatru i naszej literaturze daje **„Komediantkę"** właśnie, a potem **„Ziemię obiecaną"**, **„Chłopów"**, no i Nagrodę Nobla.

Napisałem, że trzykrotnie podejmował Reymont próby podjęcia innych zajęć. Była bowiem i próba przywdziania sutanny i praca dróżnika w Lipcach... Ale i tam dopadały go wspomnienia teatralnych wędrówek.

Aktor **Wacław Szymborski**, który z Reymontem kolegował się przez pewien czas, tak o tych sprawach wspominał:

„Mniej więcej, w połowie sezonu, zjawił się u naszego dyrektora jakiś młodzieniec, przedstawił się jako Urbański i prosił o debiut. Warunki fizyczne raczej nieprzychylne: niewysokiego wzrostu, o nienadzwyczajnym głosie i wzroku tak krótkim, że bez szkieł nic prawie nie widzi. Dyrekcja dała mu jednak debiut w „Barkaroli" Gawalewicza. Wszedł na scenę nieprzytomny z tremy, a że grał „amanta", więc grał bez okularów, co go do reszty obezwładniało. Skończył scenę i na pół ociemniały, zamiast ze sceny wyjść normalnymi drzwiami, otworzył stojącą obok szafę i wszedł do szafy. Utłukł oczywiście cały spektakl „Barkaloli". Dyrektor zatrzymał go jednak w zespole. Był miły, koleżeński, lubiliśmy go. Twierdził, że jest synem obywatela ziemskiego z Lubelszczyzny. Po jakimś czasie zniknął nam z oczu. Po kilku latach, jadąc koleją warszawsko-wiedeńską, na stacji Baby, czy Wolbórka, ujrzałem go w czerwonej czapce kierownika ruchu. Ucieszony wybiegłem z wagonu, dopadłem go:

— Jak się masz, Urbański! — krzyknąłem.

On się rozejrzał bystro, jakby chciał skontrolować, czy ktoś mnie nie słyszał — i przygarniając mnie do sobie, szepnął mi mi do ucha:

— Nie jestem Urbański, nazywam się Rejment.

A potem była jakaś katastrofa kolejowa i Reymont musiał się poddać leczeniu. Nieszczęście stało się wybawieniem. **Alfred Wysocki** w swoich wspomnieniach **„Sprzed pół wieku"**, pisze, jak poznał pisarza w krakowskiej kawiarni Schmidta.

„Pewnego poobiedzia, zjawił się tam, prowadzony przez pielęgniarkę pod rękę, jakiś młody, bladawy, lecz doskonale ubrany pan. Z miną lorda zamówił kawę mrożoną, uchodzącą w naszych oczach za szczyt rozrzutności i pudełko „Egipskich" Lorenc wnet się dowiedział, że jest to pacjent lecznicy Gwiazdomorskiego i nazywa się Reymont. Znaliśmy już jego „Pielgrzymkę do Jasnej Góry", „Komediantkę" i rozrzewniliśmy się niedawno żałosną idyllą „Lili", więc gdy przybył znów nazajutrz, powitaliśmy go hałaśliwie i serdecznie.

Przesuwając często ręką przez bujną, w tył zaczesaną czuprynę, opowiadał nam Reymont o szoku nerwowym, jakiego doznał podczas katastrofy kolejowej w Królestwie, i o procesie, wytoczonym dyrekcji Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, która musi mu zapewnić dożywotnią rentę, bo on tak jak dotąd pisać nie potrafi. Na szczęście kolej wolała mu wypłacić 40.000 rubli, bo, gdyby zgodziła się na propozycję Reymonta, byłaby cofnęła mu rentę po sukcesach „Chłopów" i Nagrodzie Nobla.

Reymont na razie leczył się zapamiętale — na koszt dyrekcji kolei — w sanatorium nie pił i nie palił, za to u Schmidta stawiał sobie i nam gęste kolejki i opowiadał o swoim życiu.

Było ono, jak z bajki. Zaczęło się od pasania boso krowy. Potem przyszła szkoła i praca zarobkowa. Był kolejno czeladnikiem krawieckim, pomocnikiem geometry, aktorem, urzędnikiem kolejowym, mnichem i znów kolejarzem, ciągle piszącym liche wiersze po kryjomu, przy świeczce, kupionej za cenę kolacji. Wszystkie te przeobrażenia Reymonta widzieliśmy przed sobą, bo opowiadał o nich z bajeczną ruchliwością maski, rąk i oczu, i odgrywał te role, z których każda miała swój wyraz i swój odmienny charakter.

Stasinek Sierosławski mówił potem, że Reymont pewnie fantazjuje i że w tych opowiadaniach musi być wiele blagi, ale to nie osłabiło bynajmniej naszego podziwu i naszych sympatii dla tak porywającego causeura.

Reymont namawiał mnie więc na przeniesienie się do Warszawy. Panują tam bowiem zgoła odmienne stosunki w świecie dziennikarsko-literackim, które pozwolą mi wcześniej, czy później wyjechać do Paryża. Każdy człowiek — mówił — mający pretensje do takiego, czy innego talentu, powinien przeżyć dłuższy okres czasu w Paryżu!

Ciekawy był to objaw. Reymont uwielbiał Francję, jej kulturę, jej urok, kochał Paryż i nigdzie mu się tak dobrze i tak łatwo nie pracowało, jak właśnie tam, a nie mógł się nigdy nauczyć języka francuskiego.

Chodziliśmy jeszcze przez chwilę przed lecznicą, którą Reymont zamierzał wnet opuścić, bo ugoda z koleją miała być już zawarta, więc wybierał się do Warszawy, aby odebrać pieniądze i wyjechać na dalszą, jak mówił, kurację do Włoch. Naborykał się tyle z biedą, z tylu pieców chleb jadał nieraz gorzki, że mimo młodości, miał rozwagę, spryt i umiejętność chodzenia koło interesów, jak stary i doświadczony człowiek. I wtedy już marzył o kawałku własnej ziemi".

Doczekał się wreszcie tej ziemi. Otrzymał swoje odszkodowanie — i stał się z miejsca człowiekiem majętnym. Reymont, obracając tak znaczną fortuną, okazał się człowiekiem praktycznym i przedsiębiorczym. Kupił jeden majątek na Pomorzu, drugi w Poznańskiem. „Handlował nimi i obracał gotówką z pożytkiem dla siebie" — pisze **Edward Kozikowski** w książce **„Łódź i pióro"**.

Czy tylko dla siebie? Czy bez tej „renty", którą ofiarował mu los, mogłyby powstać jego późniejsze dzieła?

„Ziemię obiecaną" pisał w latach 1896—1898 w Quarville i w Paryżu. Jeszcze przed jej napisaniem odbywa podobno półroczną praktykę w jednym z łódzkich zakładów tkackich, aby poznać bezpośrednio specyfikę pracy, atmosferę i środowisko.

„Z zebranymi materiałami opuścił Łódź i powieść pisał za granicą — pisze **Edward Kozikowski** — ogłosił ją najpierw w pierwszych dniach stycznia 1897 w warszawskim **„Kurierze Codziennym"**. Trwało to do września 1898 r." (...) Z **„Kuriera Codziennego"** przedrukowywała powieść krakowska **„Nowa Reforma"**. Powieść nie przypadła do gustu przemysłowcom łódzkim, więc podporządkowana im łódzka prasa niemiecka podniosła wielką wrzawę".

Czym była i czym jest dla kultury Łodzi reymontowska **„Ziemia obiecana"** nie trzeba chyba w tym miejscu przypominać. Jest coś takiego w tej książce, że nawet po kilkudziesięciu latach jej filmowa wersja także wzburzyła umysły, czy raczej emocje...

Nie budzi tylko wątpliwości wielkie dzieło Władysława Reymonta, który dał polskiej i światowej literaturze panoramiczny, artystycznie piękny obraz polskiego społeczeństwa przełomu wieków.

Foto: W. Małek

POMNIK...

Dalszy ciąg ze str. 1

Szczepański. Mało kto wierzył, że ów „karkołomny" — jak mówiono — pomysł zostanie zrealizowany. Wiemy przecież, jak wielkie są koszty budowy pomnika, jak ogromne, skomplikowane są techniczne i technologiczne problemy odlewu i montażu. Wyspecjalizowane w tej dziedzinie wytwórnie mają plany wypełnione na całe lata i cenniki opiewające na miliony złotych.

Ale Wójcik, Skuła i Szczepański wierzyli, że dokonają wymarzonego dzieła. Oczywiście, byłoby to niemożliwe bez szerokiej pomocy władz partyjnych i miejskich. Oczywiście, niemożliwa byłaby realizacja, gdyby inicjatorzy nie znaleźli natychmiast szerokiego grona — podobnych jak oni — zapaleńców.

Są to m.in. **Zdzisław Aranowski, Jerzy Ganclerz, Eugeniusz Giernat, Tadeusz Niewiadomski, Zdzisław Perliński, Józef Potęga, Czesław Rządkowski, Czesław Teleszyński** — członkowie Komitetu Organizacyjnego Jubileuszu 150-lecia Cechu Ślusarzy w Łodzi.

Przewodniczący tego Komitetu, STANISŁAW WÓJCIK, mówi: „Inicjatywa realizacji naszego zamierzenia jest kontynuacją myśli nurtującej społeczeństwo Łodzi od wielu lat. Władysław Reymont bowiem, jak żaden z polskich pisarzy, był ściśle związany z Łodzią, poprzez swoją twórczość literacką i bliski rzemiosłu łódzkiemu, ponieważ sam był rzemieślnikiem. Okazją do podjęcia realizacji budowy pomnika był jubileusz 150-lecia Cechu Ślusarzy w Łodzi. Dokonanie realizacji tak wielkiego dzieła i w tak krótkim czasie Komitet Organizacyjny zawdzięcza wyjątkowo życzliwemu klimatowi i poparciu, z jakim spotkał się ze strony Komitetu Łódzkiego PZPR, Stronnictwa Demokratycznego oraz władz administracyjnych naszego miasta".

Inne cechy rzemieślnicze wpłaciły na konto budowy pomnika sumy od 10 do 40 tys. złotych. Izba Rzemieślnicza zadeklarowała 400 tys. złotych. Zakłady im. Dzierżyńskiego — 70 tys. zł. Ponadto zbierano metale kolorowe, pracowano w czynie społecznym — w efekcie na koncie znajduje się dziś milion złotych. Ogólny koszt pomnika, właśnie dzięki szerokiej akcji społecznej, wyniesie około półtora miliona złotych.

Żeby uzmysłowić czytelnikowi, jaka jest finansowa wartość czynu społecznego łódzkich rzemieślników, podam prosty przykład. Sam pomnik Reymonta waży 4 tony. Według oficjalnych cenników koszt 1 tony odlewu wynosi milion złotych.

Łódzki pomnik natomiast kosztuje w „żywej gotówce" — jak wspomniałem — półtora miliona złotych. Reszta to autentyczny, społeczny wkład ludzi, którzy uwierzyli, że można, i wiedzieli, że trzeba dać miastu pomnik autora „Ziemi obiecanej". Wysokość rzeźby wynosi 3,75 m, szerokość 1,67 m.

Płytę fundamentową wykonał w czynie społecznym członek **Spółdzielni Rzemieślniczej „Budowlana" — Zdzisław Kawecki.** Odlew z brązu i montaż jest dziełem **Łódzkiego Przedsiębiorstwa Metalowego „Progaz".** Łódzcy specjaliści z „Progazu" podjęli się tej trudnej, nietypowej dla siebie pracy i wykonali ją bez zarzutu. Pracami kierował **inż. Walczak.**

W efekcie więc Łódź otrzyma pomnik, który od początku do końca jest dziełem obywateli naszego miasta. Od projektu łódzkiego artysty, **Wacława Wołosewicza**, poprzez wszystkie prace przygotowawcze i techniczne — aż do wykonania i montażu odlewu przez łódzkich metalowców.

Za parę dni, na Placu Reymonta, tuż obok Piotrkowskiej, najpiękniejszej, owianej historią ulicy Łodzi — stanie pomnik pisarza, który miasto uczynił bohaterem swojej książki.

Realizacja tego zamierzenia w czynie społecznym jest pięknym wkładem ludzi pracy naszego miasta w utrwalanie tradycji kulturalnych Łodzi.

J.W.

U PRZYJACIÓŁ

Pojęcie sezonu kulturalnego w Czechosłowacji — stwierdza „Rude Pravo" — ma obecnie charakter umowny. Zmienił się sposób wykorzystywania czasu wolnego, a tym samym dóbr kulturalnych, dlatego też sezon kulturalny w praktyce nie kończy się nigdy, a jego rozpoczęcie ma charakter symboliczny. Jest ono obecnie jedynie cezurą czasową przydatną wyłącznie w planowaniu i statystyce. Życie kulturalne toczy się nieprzerwanie przez cały rok. Owo stałe pulsowanie kultury jest cechą charakterystyczną ustroju socjalistycznego. Kultura bowiem nie uzupełnia życia społecznego, ale stanowi jego nieodłączny element. Fakt ten jest źródłem niespotykanego w żadnym innym ustroju rozkwitu kultury.

Dla zilustrowania powyższego twierdzenia praski dziennik przytacza wiele przykładów. I tak, organizowany od lat Festiwal Filmowy Pracujących w miesiącach wakacyjnych skupia uwagę blisko 2 mln widzów. Pod hasłem „Praskie lato kulturalne" odbywa wiele przedstawień teatralnych, przeglądy twórczości artystycznej, wernisaże itp. imprezy gwarantujące nieprzerwany kontakt z kulturą i sztuką.

• • •

W październiku 80 lat temu — wystawieniem dramatu A. Tołstoja „Car Fiodor Iwanowicz" — rozpoczął swą działalność Moskiewski Teatr Artystyczny. Jego twórcami byli Konstantin Stanisławski i Niemirowicz-Danczenko. O rozpoczęciu jubileuszowego sezonu tej słynnej placówki teatralnej mówi dyrektor MCHAT-u Kirył Uszakow:

Tradycyjnym zwyczajem na początku nowego sezonu zebrał się cały zespół na naradę celem omówienia najbliższych planów repertuarowych i dokonania przeglądu aktualnego stanu kadr. Było to spotkanie o uroczystym charakterze. Powitaliśmy gorąco seniorów — rówieśników MCHAT-u Prudkina i Bołdumana, a także nowych kolegów, absolwentów mchatowskiego studia. Plany na najbliższy sezon oprócz wznowień zawierają szereg nowych interesujących propozycji. Z klasyki — „Gorące serce" A. Ostrowskiego oraz sceniczny montaż utworów Lwa Tołstoja pt. „Cisza! Próba Tołstoja!". Ze sztuk współczesnych wystawimy „Polowanie na kaczki" Wampiłowa i „My, niżej podpisani" Gelmana.

• • •

Interesujące wyniki przyniosły badania na temat „Książka w systemie informacji masowej", przeprowadzone przez Komitet ds. Wydawnictw przy Radzie Ministrów ZSRR. Ich celem było zbadanie aktualnego stanu czytelnictwa oraz wpływu i znaczenia prasy, radia i telewizji na jego upowszechnienie. Podczas badań przeprowadzono ankietę, którą objęto ok. 6 tys. osób z blisko 200 miast i osiedli całego kraju. Z obszernego raportu przytoczmy kilka najbardziej charakterystycznych danych.

Na pytanie: „jak często czytasz książki?", aż 84 proc. ankietowanych odpowiedziało, że codziennie. Wśród nich 3,6 proc. poświęca na czytanie do 30 minut dziennie, ok. 16 proc. do 1 godziny, 35 proc. do 2 godzin i blisko 40 proc. ponad 2 godziny. Do najbardziej aktywnych czytelników należy młodzież do lat 18.

Badania wykazały, że zainteresowania i gusty czytelnicze ulegają przekształceniu zależnie od wieku, poziomu wykształcenia i rodzaju pracy. Do książek najczęściej zwracają się osoby uczące (62 proc.), pogłębiające wiedzę zawodową (42 proc.), książka pomaga zaspokajać zainteresowania (41 proc.), wychowywać dzieci (34 proc.), rozwijać osobowość (25 proc.). Ankieta wykazała także, że książki wywierają znaczny wpływ na formowanie się światopoglądu człowieka. Aż 41 proc. respondentów odpowiedziało, że szuka w nich odpowiedzi na różne zagadnienia etyczno-moralne, 32 proc. interesują problemy kultury i sztuki itp.

Interesujące są również wyniki ankiety dotyczące wpływu środków masowego przekazu na rozwój czytelnictwa. Okazuje się np. że po obejrzeniu filmu — ekranizacji utworu literackiego 18 proc. widzów sięga po pierwowzór. W telewizji — odpowiednio 14 proc. W tych przypadkach poważną rolę odgrywa poziom wykształcenia. Np. artykuł lub recenzja w prasie wywołuje chęć przeczytania ocenianego utworu u 17 proc. osób z wyższym wykształceniem i u 9 proc. z niepełnym średnim.

Ankieta wykazała również, że u ponad 70 proc. mieszkańców miasta są w domu biblioteki liczące ponad 100 książek. W młodych rodzinach są one objętościowo niewielkie. Duże księgozbiory spotyka się częściej u reprezentantów starszego pokolenia.

• • •

Dwie premiery i wielkie tournee artystyczne po miastach Polski, NRD i Włoch znajdują się w najbliższych planach Siergieja Obrazcowa — aktora, reżysera i dyrektora Centralnego Teatru Lalek w Moskwie. Zgodnie z tradycją na inaugurację sezonu wystawiono „Niezwykły koncert", przedstawienie, którego premiera odbyła się przed 20 laty. Moskwiczanie oglądali ten spektakl już 6 tysięcy razy, zawsze przy pełnej widowni. W tym roku Obrazcow pragnie zrealizować nowe przedstawienie, na które złożą się fragmenty sztuk wystawianych w Teatrze Lalek w ciągu 42 lat jego istnienia.

Obrazcow kontynuuje także działalność literacką. Niedawno ukazała się jego książka pt. „Sztafeta sztuki", w której wypowiada się na temat kina, teatru i telewizji, ich wzajemnych związków i roli jaką odgrywają w życiu współczesnego społeczeństwa. Rozpoczął także prace nad drugą częścią autobiografii „Mój zawód". Pierwsza część tej książki spotkała się z dużym zainteresowaniem, była już kilkakrotnie wydawana w ZSRR i za granicą.

W masowych pacyfikacyjnych operacjach armii rodezyjskiej przeciwko ludności murzyńskiej, które rząd Smitha gwałtownie zaktywizował po wprowadzeniu w kraju 11 września br stanu wyjątkowego, biorą udział zagraniczni najemnicy zwerbowani głównie w krajach NATO. Wielu z tych zuchów przeszło wyszkolenie podczas francuskiej awantury kolonialnej w Algierii, a także w czasie amerykańskiej wojny w Wietnamie.

MISJA SPECJALNA „PUŁKOWNIKA MORENNE"

Bezpośrednie współdziałanie CIA oraz innych tajnych służb NATO z rasistami w werbowaniu najemników, iż między rasistowskimi reżimami na południu Afryki i najbardziej reakcyjnymi siłami na Zachodzie istnieje zmowa, wymierzona swym ostrzem przeciwko narodowowyzwoleńczym siłom na kontynencie afrykańskim. Niektórzy najemnicy szczycą się swoją haniebną profesją. Ale Bob Denar — „autor" przewrotu państwowego, który pociągnął za sobą obalenie prezydenta Wysp Komorskich, ali Sualicha — nie należy do nich. Ten „dżentelmen", urodzony w Bordeau w 1929 roku, który nazywa siebie dziś pułkownikiem Saidem Mustafa Machdżubem, jest naczelnym „reorganizatorem" armii komorskiej, nie lubi słowa „najemnik". „Wśród nas — mówi on — niewątpliwie zawsze znajdą się niegodziwcy, ale ludzie zawsze są skłonni pakować wszystkich i wszystko do jednego worka..."

Być może przezwisko „bestia", używane w niektórych zachodnich gazetach, w tonacji przerażenia i zachwytu, podoba mu się bardziej. Ta drażliwość zatwardziałego najemnika wzbudza zdziwienie. Na ogół Bob Denar jest bardzo rozmowny, a z drugiej strony jest nader skromny we wszystkim, co tylko dotyczy jego przeszłości. Oto, co mówi o swym życiu od 1960 roku: „Nieco ponad dwa lata pozostawałem na służbie u Czombego w Katandze, następnie tyleż lat służyłem u imama El-Badra w Jemenie. Powróciłem do Czombego, kiedy udało mu się znów objąć władzę w Kinszasie. Później przeszedłem na służbę do Mobutu. Po otrzymaniu rany, w stanie ciężkim ewakuowano mnie z Konga do Rodezji..." Przesadna skromność. Bob Denar przemilcza pewien interesujący „bohaterski wyczyn". Opowiedział o nim John Stockwell, były pracownik CIA, szef amerykańskiej agentury w Angoli, w swojej książce „Na tropach wroga". Według słów Stockwella, który utrzymuje, iż CIA zna Denara nie gorzej, niż znają go francuskie służby wywiadu, „ów najemnik szedł na służbę do tego, kto więcej płacił, nie gardząc niczym, co tylko zwiększało jego konto bankowe." Właśnie do niego zwróciła się w listopadzie 1975 roku CIA z prośbą o zwerbowanie 20 francuskich najemników do działań w Angoli.

Dzięki pośrednictwu CIA, Bob Denar otrzymał poważną pomoc ze strony francuskiej służby specjalnej — SDESE. „Francuskie służby — pisze Stockwell — naciskały, żeby CIA pracowała bezpośrednio z Denarem, który zajmował się werbowaniem najemników." We Francji Bob Denar nie wygląda bynajmniej na człowieka, którego ściga prawo. Korespondent „New York Times" pisał swego czasu z Nairobi: „Podkreśla się tutaj, iż Bob Denar w przeciągu wielu lat utrzymywał bliskie kontakty z Foccarem, specjalnym doradcą do spraw Afryki zmarłego prezydenta de Gaulle'a."

„Oczywiście, przewrót wojskowy w Moroni, na Wyspach Komorskich — przechwala się Denar — był operacją absolutnie unikalną, przygotowaną i finansowaną przez trzech jej uczestników: dwóch prezydentów in spe oraz mnie." John Stockwell wie o tym. W swojej książce opisuje on, jak wściekle targował się Denar o swoich dwudziestu zuchów: „Moje cyniczne przypuszczenia odnośnie żądań Denara sprawdziły się. Mimo mego hartu, zapoznawszy się z warunkami tego werbunku, które przekazano nam drogą kablową za pośrednictwem naszej francuskiej łączności 24 listopada 1975 roku, wpadłem w zakłopotanie. Najemnik zobowiązał się zwerbować 20 ludzi na okres 5 miesięcy za 350 tysięcy dolarów gotówką. Cała ta suma powinna być przekazana na jego konto bankowe w Luxemburgu jeszcze przed tym, nim zacznie werbunek. CIA o czymś takim jeszcze nie słyszała. Ale trzeba było ustąpić. Skończyło się na 500 tysiącach dolarów."

„Wśród 20 najemników, jak pisze Stockwell, znalazł się także francuski agent. Ludzie Denara rozpierzchli się później, kilka miesięcy przed wygaśnięciem kontraktu, właśnie w momencie, kiedy UNITA najbardziej potrzebowała ich pomocy." Rozstanie przyjaciół nie odbyło się bez awantur. „Jeden z ludzi Denara — donosił w raporcie oficer CIA — ordynarnie kłamał i mówił, że Bob Denar nie zapłacił mu ani centa. Ten zaprzeczał."

Denar służył, jak wszystko na to wskazuje, od 1960 roku do 1967 nie tylko w Zairze (wówczas Kongo Belgijskie), gdzie walczył z początku w armii Czombego, później w oddziałach Mobutu, a jeszcze później... przeciwko Mobutu. Pozostawił on także swoje ślady w Biafrze. Oto w lipcu 1967 roku generał-gubernator Wschodniego Obwodu Nigerii, pułkownik Odżukwu, zapewniwszy sobie poparcie sił proimperialistycznych, ogłosił wystąpienie Obwodu, ze składu państwa i stworzenie tzw. Republiki Biafry. W konsekwencji wybuchła krwawa wojna domowa, pociągając za sobą setki tysięcy ofiar w zabitych i rannych. Po stronie separatystów występowały setki najemników, wyróżniających się okrutnym pastwieniem się nad ludnością cywilną. Po 1970 roku, jak wyraził się Denar, nastąpiło „zacisze". W 1975 roku pojawia się on na Komorach, „w 1976 roku wraca tutaj", a w 1977 roku jest zaabsorbowany przygotowywaniem „ostatniej operacji" komorskiej.

Nie budzi wątpliwości fakt, iż „pułkownik Morenne", który w styczniu 1977 roku dowodził oddziałem najemników atakujących Koton, w Beninie, i Denar — to jedna i ta sama osoba. „Pułkownik Morenne" jest jednym z jego pseudonimów. Jeśli chodzi o stopień wojskowy, który sobie bezprawnie przywłaszczył — wodzireje najemników zawsze mieli słabość właśnie do epoletów pułkowników — to jest to zupełnie nieoczekiwany awans dla starszego kaprala, jakim był niegdyś w regularnej armii.

Oczywiście, Bob Denar w pojedynkę nie zdoła zapełnić Afryki „psami wojny". Ale wygląda na to, że najemnicy znów powracają na kontynent afrykański, a nowy dowódca armii komorskiej jest groźnym ostrzeżeniem. Ostatnie 20 lat najemnicy szaleli w Sudanie, Nigerii, Kongo, Zairze, Angoli, Beninie, Zimbabwe i Namibii. Nazwiska Rolfa Steinera, Jeana Schrammа czy tegoż Boba Denara zyskały sobie jak najgorszą sławę w całej Afryce. Afrykanie są zaniepokojeni nową falą werbunku najemników w wielu stolicach krajów zachodniej Europy i USA. Lęk ten jest w pełni uzasadniony. Na przykład do Rodezji, przez Londyn, udał się ostatnio oddział amerykańskich najemników pod dowództwem 34-letniego weterana wojny w Wietnamie, J. Paysa, 25 września, przed zajęciem miejsca w samolocie lecącym do Salisbury, Pays powiedział korespondentom, że premier Ian Smith z radością powita ich przybycie. Oddział, składający się z 300 ludzi zamierza rozbić obóz w rodezyjskim mieście Umtala. „Wywiesimy flagę wolnych chrześcijan na miejscowym kościele i niech tylko partyzanci spróbują ją opuścić" dodał groźnie wódz.

Podczas spotkania z korespondentami Pays był w uniformie wojsk specjalnego przeznaczenia armii Stanów Zjednoczonych, w której służył wcześniej. „Będziemy tropić partyzantów dopóty, dopóki nie skończymy z nimi ostatecznie — ciągnął Pays groźnie — nawet, jeśli w tym celu będziemy musieli przekroczyć granice i przedostać się na terytorium Mozambiku." Warto w tym miejscu przytoczyć fragment wywiadu, jakiego udzielił reporterowi „Nouvel Observateur" jeden z francuskich najemników, który powrócił niedawno właśnie z Rodezji: „Przebywaliśmy już sześć tygodni w sawannie, później wyjechaliśmy na granicę z Mozambikiem. W pewnym miejscu droga wiodła wśród skał. Dowódca ostrzegł nas: „Miejcie się na baczności, to najlepsze miejsce dla nagłego ataku partyzantów." Istotnie, w pewnej chwili zaczęły gwizdać kule. Pierwszą ofiarą był kierowca, seria z automatu przeszyła mu pierś. W pudle samochodu kilkunastu ludzi zostało ciężko rannych, wili się i krzyczeli z bólu. Ogarnęła nas panika. Nim chwyciliśmy za broń, partyzanci znikli. Mają oni doskonałe kwalifikacje wojskowe, wyższe niż myśleliśmy. Walczą coraz lepiej. Później, kiedy przekonałem się o bojowych walorach partyzantów, doszedłem do wniosku, że pieśń białych została już tutaj odśpiewana..."

JERZY CZECH

USA

W STANIE KALIFORNIA...

Korupcja w systemie ochrony zdrowia w Los Angeles, w Kalifornii, jest przedmiotem nieustannych skandali, wybuchających z powodu nadużyć przy urzeczywistnianiu programów ubezpieczeń od chorób, rozdmuchiwaniu rachunków za leczenie w szpitalach finansowanych przez państwo, nadużyć przy świadczeniach usług lekarskich ludziom niezamożnym itp. Dla wielu lekarzy źródłem wzbogacania się są szeroko praktykowane zbędne etaty lekarskie. W badaniach przeprowadzonych przez krajowe organizacje społeczne stwierdzono, iż trzecia część stanowisk lekarskich nie była praktycznie uwarunkowana potrzebami pacjentów. Narodowa Organizacja Ubezpieczeń Lekarskich zakończyła niedawno szeroko zakrojone badania, które wykazały, iż 25 proc. stanowisk można było uniknąć gdyby pacjenci mogli korzystać z porady innych lekarzy. Wielu lekarzy i wiele zakładów leczniczych troszczą się przede wszystkim o własne dochody a nie o dobro pacjentów. W ciągu dwóch ostatnich lat opłata za jedną tylko wizytę u lekarza wzrosła, w większości przypadków, do 35 dolarów, a wydatki na przeróżne analizy sięgają setek dolarów. Rachunek za leczenie może zrujnować rodzinę, jeżeli pacjent nie jest ubezpieczony od choroby; ale i ubezpieczenia stały się ostatnio niezwykle drogie.

Niedawno wybuchł głośny skandal związany ze zdemaskowaniem lekarzy i aptekarzy trudniących się handlem narkotykami. Wykorzystywali oni swoje dyplomy wyłącznie do ciągnięcia zysków z tego dochodowego biznesu, nie troszcząc się ani trochę o ludzi naprawdę chorych. Już od dawna wie każdy Amerykanin, iż tysiące narkomanów wystaje godzinami w gabinetach takich lekarzy w nadziei otrzymania recept na narkotyki, które mogą nabyć w określonych aptekach. Alarmy w prasie zmusiły rząd do zastosowania sankcji wobec takich lekarzy i niektórzy z nich odsiadują już wyroki sądowe. Kary są jednak niezwykle łagodne, a poza tym nie pozbawia się ich prawa praktyki w przyszłości.

Duży niepokój wzbudza w Los Angeles, w szczególności w społeczności żydowskiej liczącej ponad 600 tys. osób, wzrost antysemityzmu. W ciągu ostatnich dwóch lat, jak informuje amerykański dziennikarz G. Morris, naziści, w uniformach ze swastyką na rękawach, aktywizują swoją działalność i terroryzują społeczność żydowską. W wielu miastach kraju otwarto księgarnie, które rozpowszechniają rasistowską i antysemicką literaturę. Szczególne zaniepokojenie Amerykanów wzbudza postanowienie Sądu Najwyższego USA w sprawie zezwolenia na nazistowska demonstrację w jednym z niewielkich miast w stanie Illinois, zamieszkałym w większości przez Żydów. W miasteczku tym, leżącym niedaleko Chicago, osiedliło się kilka tysięcy byłych więźniów nazistowskich obozów śmierci. Amerykańscy neonaziści próbowali urządzić tutaj wiec z okazji rocznicy urodzin Hitlera. Otworzyło to wielu ludziom oczy na fakt, iż do pogrzebania faszyzmu w USA jest jeszcze bardzo daleko.

Na ożywionych skrzyżowaniach ulic w Los Angeles rzędy automatów wydają, każdemu kto ma na to chęć, za 25—50 centów, produkcję porno, zdjęcia ze szczegółami igraszek miłosnych itp. W mieście co krok funkcjonują „salony masażu", będące w istocie zamaskowanymi domami publicznymi, w których odbywają się pornograficzne „show". Niemal wszystkie są własnością gangów.

Ten obraz degradacji moralnej w stanie Kalifornia jest dziś charakterystyczny dla wszystkich stanów USA.

(J.)

■ LIBAŃSKI DRAMAT
■ ROZPOCZĘCIE ROKOWAŃ
■ MOSKWA – WASZYNGTON

Nie podejmowaliśmy na tym miejscu przez dłuższy okres problemu Libanu. Tymczasem sytuacja zaogniała się coraz bardziej — walki przybierały na sile, rósł międzynarodowy aspekt konfliktu. Sytuacja, jako poważna, znalazła się na porządku obrad Rady Bezpieczeństwa. Ta zaś zwróciła się do walczących stron o ogłoszenie rozejmu. W chwili, gdy piszemy te słowa, agencje donoszą, że w Bejrucie utrzymuje się niepewny rozejm między oddziałami arabskiego korpusu bezpieczeństwa a siłami zbrojnymi prawicy libańskiej.

O co chodzi w Libanie? Dlaczego z taką zawziętością i gwałtownością toczy się walka, a próby mediacji dotąd nie dały trwałego wyniku? Ogłaszano przecież już niejednokrotnie rozejmy i podpisywano porozumienia pokojowe.

Do 1970 roku Liban był krajem spokojnym. Dwie wspólnoty religijne: muzułmańska i chrześcijańska, chociaż pod każdym względem różniące się, egzystowały obok siebie. Wzbierająca jednakże eksplozja nastąpiła z momentem, **kiedy Liban znalazł się w konflikcie bliskowschodnim.** Było to właśnie przed ośmiu laty, gdy w Jordanii zlikwidowany został zbrojny ruch palestyński. Odtąd część Libanu stała się terenem izraelskich akcji represyjnych. **Palestyńczycy, walczący o słuszne prawo do decydowania o swoim losie,** wspierani byli przez polityków muzułmańskich, chrześcijańscy zmierzali różnymi sposobami do ograniczenia ich swobody. Próba określenia statusu uchodźców polestyńskich niedługo zdawała egzamin. Bojówki partii konserwatywnych zaczęły siać terror, rząd stracił panowanie nad sytuacją, a część armii stanęła po stronie prawicy. Syryjskie oddziały, następnie przekształcone w międzyarabski korpus bezpieczeństwa, miały ustabilizować sytuację, ale **w otwartej już formie po stronie prawicy stanął Izrael.** Wojna domowa nabrała innego charakteru i chociaż była okresami przerywana właściwie wciąż trwała.

Ostatni wybuch przyniósł straszny plon — obficie polała się krew, powstało poważne zagrożenie. Za wszelką cenę trzeba było wyciszyć konflikt. **Ale wyciszyć — to jeszcze nie rozwiązać.** A drogi wyjścia ze złożonej sytuacji nie są takie proste. Plany, które dotąd były przedkładane przez Francję, Stany Zjednoczone, czy libańskiego prezydenta albo już się zdezaktualizowały, albo odrzucone są przez jedną ze stron. Złożoność sytuacji utrzymuje się więc nadal.

Tymczasem w **Waszyngtonie rozpoczęły się separatystyczne rozmowy Egipt — Izrael,** które mają doprowadzić do dwustronnego traktatu pokojowego — zgodnie z postanowieniami szczytu w Camp David. Obrady, w myśl optymistycznych ocen Waszyngtonu, potrwają 2—3 tygodnie i będą ściśle utajnione. Dziennikarzom na wstępie zapowiedziano, że nie mogą liczyć na żadne istotniejsze informacje. Stronie egipskiej przewodniczy minister Obrony — Hassan Ali, stronie izraelskiej — minister Spraw Zagranicznych — Mosze Dajan. Prez. Sadat za pośrednictwem specjalnego urządzenia może w Kairze śledzić przebieg obrad.

O wartości tych rozmów i zamiarze wynegocjowania separatystycznego porozumienia — pisaliśmy już wiele. **Reakcja świata arabskiego na postanowienia z Camp David jest ich najlepszą oceną.** Prawda jest przecież taka, że zawarcie owego układu może przynieść nie uspokojenie, lecz wręcz odwrotnie — dalsze zaostrzenie sytuacji na Bliskim Wschodzie. W liście, skierowanym do Sadata, czterej byli czołowi działacze egipscy napisali, że postanowienia z Camp David „prowadzą do niebezpiecznej izolacji Egiptu i nie gwarantują mu żadnego bezpieczeństwa". Przytaczamy te słowa jako dostrzegające realne niebezpieczeństwo, w jakie separatystycznymi rozmowami wmanewrowuje się Sadat.

A jaką partię grają w tych rokowaniach Stany Zjednoczone?

Jak już pisaliśmy, prez. Carterowi chodzi przede wszystkim o efekt wewnętrzny, a także o umocnienie wpływów USA na Bliskim Wschodzie. Tylko czy można to osiągnąć, odrywając się od politycznych realiów tego rejonu?

Związek Radziecki — mówił niedawno przed kamerami radzieckiej telewizji min. A. Gromyko — wyraźnie potępił wyniki spotkania w Camp David; po pierwsze dlatego, że nie brały udziału te kraje i siły, które powinny w nim uczestniczyć, po drugie dlatego, że decyzje te nie odpowiadają wymogom ustanowienia sprawiedliwego i trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie.

I ostatni temat przeglądu — **perspektywy rozwoju stosunków radziecko-amerykańskich,** o których we wspomnianym wywiadzie telewizyjnym mówił również minister.

Podkreślając, że ZSRR opowiada się za dobrymi stosunkami z USA i uważa, że pokój między nimi oznaczać będzie pokój dla całego świata — min. A. Gromyko, w nawiązaniu do swych niedawnych rozmów z prez. Carterem, powiedział: jeżeli Stany Zjednoczone będą stały na pozycjach pokoju i odprężenia, jeżeli zajmą bardziej wyważone i realistyczne stanowisko w sprawach wyścigu zbrojeń, a tym bardziej rozbrojenia — to będzie właśnie to, czego oczekują narody. Związek Radziecki stoi na takich pozycjach. Nie pozwoli się jednakże krzywdzić i ingerować w jego sprawy wewnętrzne.

W wywiadzie tym komentatorzy zachodni znajdują potwierdzenie wcześniejszych przewidywań, że **na linii Waszyngton — Moskwa może nastąpić rychło ocieplenie...**

W. SŁAWSKI

III TRIENNALE TKANINY UNIKATOWEJ I PRZEMYSŁOWEJ ŁÓDŹ–78

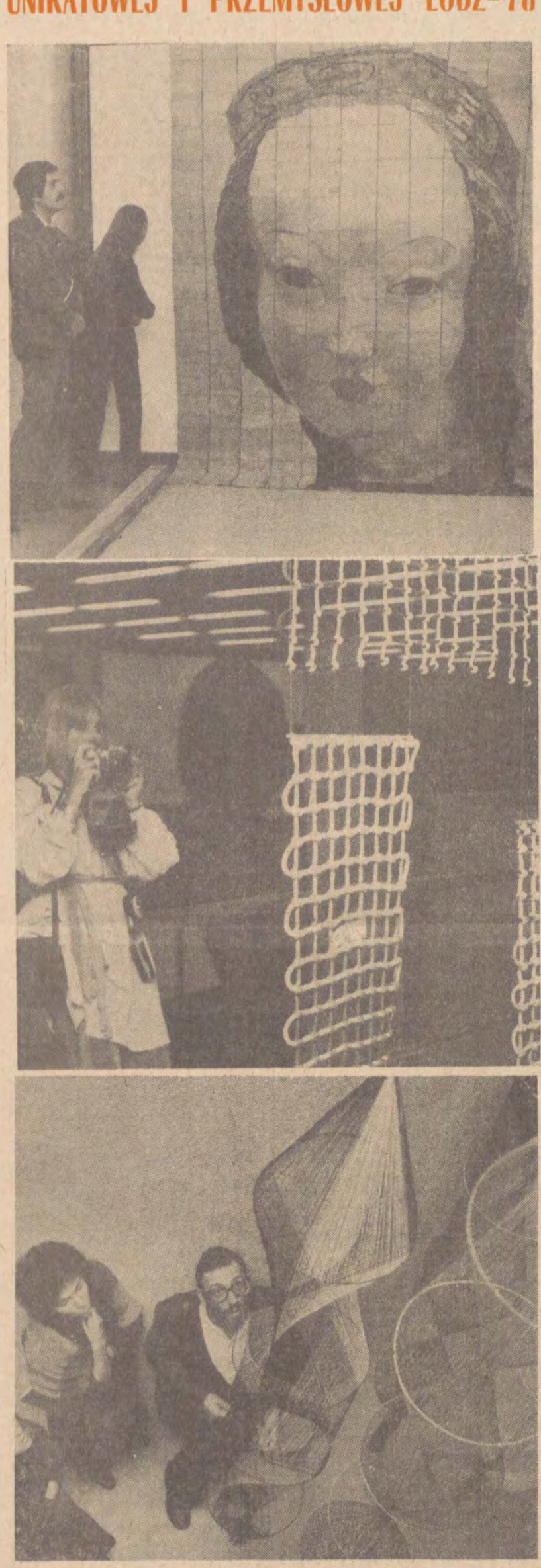

Foto: A. Wach

W tegorocznym, III Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, jury przyznało następujące nagrody.

W dziale tkaniny przemysłowej postanowiono nie przyznawać złotego medalu, ze względu na niepełną reprezentatywność wystawy dla obecnego stanu tej dziedziny sztuki. Dwa srebrne medale przyznano: Yamagishi Masafumi i Hisoshi Awatsuji z Japonii, a trzy brązowe medale otrzymali: Chiqui Mattson (Szwecja), Natalya Zhovtis (ZSRR) i Kari Skogstad (Norwegia).

W dziale Tkaniny Unikatowej złoty medal otrzymała Berit Hjelholt z Danii, dwa srebrne medale: Irma Kukkasjarvi (Finlandia i Archie Brennan (Wielka Brytania), a trzy medale brązowe: Judit Droppa (Węgry), Yanic (Francja) i Renata Rozsivalova (Czechosłowacja).

Ponadto odrębne jury przyznało medale Związku Polskich Artystów Plastyków 10 autorom. Z Polski otrzymali je: Janina Tworek-Pierzgalska i Stefan Popławski.

W SŁUŻBIE JEGO CESARSKIEJ WYSOKOŚCI

Jack London, nim poświęcił się bez reszty działalności pisarskiej, był rybakiem, kłusownikiem morskim, marynarzem, robotnikiem, bezdomnym trampem, poszukiwaczem złota. Emil Zola pracował jako doker, a potem jako ekspedient księgarski. Bogatą biografię Charlesa Dickensa wyczytać można niemal expressis verbis z powieści „David Copperfield". Równie zmienne były losy wybitnego prozaika rosyjskiego Aleksandra Kuprina.

Początki wychowania odebrał w sierocińcu, po czym przeznaczono go do kariery wojskowej. Więc najpierw korpus kadetów, potem szkoła junkrów. Jako dwudziestolatek zostaje oficerem i służy w armii w latach 1890—94. Specyficzne stosunki panujące w carskim korpusie oficerskim i w ogóle w wojsku każą mu opuścić szeregi. Pracuje więc ze zmiennym szczęściem jako dziennikarz, tragarz portowy, urzędnik, śpiewak w chórze, mierniczy, myśliwy, rybak, aktor, sufler, organizator cyrku.

Po co przywołałem tu te szczegóły biograficzne kilku pisarzy? Bo mam wielki szacunek dla twórczości, która zrodziła się z gruntownej znajomości życia, z nagromadzenia własnych doświadczeń. Z takiego nawarstwienia się wspomnień, zgłębienia warunków i obyczajów panujących w różnych środowiskach ludzkich rodziły się książki autentyczne w odniesieniu do realiów, zaskakujące trafnością obserwacji, demaskatorskie.

Powieść Kuprina „Pojedynek" powstała w 1896 roku i stanowiła jakby motywację decyzji pisarza o zdjęciu munduru. Życie w carskiej Rosji w przededniu wielkich wstrząsów społecznych było jednym wielkim ropiejącym wrzodem, a miejscem szczególnie zapalnym była armia, gdzie odbijały się i potęgowały wszystkie schorzenia społeczne. Nade wszystko jednak tą masą zbrojnych ludzi rządziła głupota.

Kuprin rozpoczyna swoją powieść od opisu ćwiczeń z regulaminu służby garnizonowej. Żołnierzy porozstawiano rozproszonych po placu ćwiczeń na fikcyjnych posterunkach. „...podoficerowie — czytamy — sprawdzali posterunki i badali wiadomości swoich żołnierzy, starając się wyłudzić podstępem od wartownika jego karabin, to znów próbowali zmusić go do opuszczenia posterunku albo wpakować mu na przechowanie jakikolwiek przedmiot, najczęściej własną czapkę. Ci, którzy już dłużej służyli i znali te groteskową kazuistykę, odpowiadali w takich wypadkach przesadnie surowym tonem: „Odejdź, nie mam żadnego prawa nikomu oddawać broni, chyba że otrzymam rozkaz od samego cesarza". Ale młodzi łatwo dawali się zbić z tropu." (przekł. Haliny Rogalowej).

Z tego lapidarnego fragmentu wyłania się już królująca, wszechwładna bzdura, która wyciska swe piętno na funkcjonowaniu armii w służbie jego cesarskiej wysokości. Wypadkowa tej bufonady była brutalność podoficerów posunięta do okrucieństwa, doprowadzająca ludzi do kompletnego załamania się (watek Chlebnikowa). Nad tą ponurą, robaczywą otchłanią puszyła się kadra oficerska, przegniły kwiat tej soldateski, kierująca się fałszywym pojęciem o honorze i etyce, traktująca rewolwer i krew za remedia wszystko oczyszczające.

Bohaterowie „Pojedynku", porucznicy Romaszow i Nazański, uwikłani w tę sieć podłości, tępoty i kastowych przesądów, miotają się rozpaczliwie w poszukiwaniu dróg wyjścia, czy przynajmniej wyniesienia z tego spustoszenia moralnego resztek człowieczeństwa. Udać się to nie może, gdyż los jednostki buntującej się jest w tych warunkach jednoznacznie zdeterminowany.

Tadeusz Junak, związany z Łodzią reżyser filmowy młodego pokolenia, dokonał rzeczy dość karkolomnej, adaptując powieść Kuprina na ekran telewizyjny. Wielowątkowość „Pojedynku" i główna jego wartość tkwiąca w odtworzeniu literackim zatęchłej, duszącej atmosfery prowincjonalnego carskiego garnizonu, to faktory nie ułatwiające realizacji ambitnego zamierzenia I choć reżyserowi udało się stworzyć z tego materiału literackiego dość jednolite w strukturze i sprawne w działaniu widowisko, to przecież określoną cenę przyszło mu za to zapłacić.

Głęboka ingerencja adaptatora w chronologię zdarzeń, operowanie w sferze retrospekcji, wpłynęło na pewną nieklarowność narracji, hamując raz po raz proces narastania dramatu, który w oryginale powieściowym przeprowadzony jest z taką maestrią. Zbyt mało chyba poświęcił reżyser uwagi drugiemu planowi, który nie stanowi przecież u Kuprina neutralnego tła, lecz ciąży na losach głównego bohatera i w ostatecznym rachunku decyduje o jego tragedii. Chęć ze strony realizatora jest, a przecież atmosferę udaje mu się odtworzyć tylko połowicznie.

Do aktorów mam pretensję o to, że nie potrafili przekazać stylu bycia oficerów rosyjskich. Trzeba się było dobrze przyglądać pagonom, by pułkownika odróżnić od kaprala. Brak elegancji, szyku, który w carskim korpusie oficerskim pozostawał w ścisłej symbiozie z ograniczeniem i podłością — oto czego dopatrzyłem się w spektaklu. A żeby nie zakończyć zbyt minorowo, dodam: dobrze, że po dłuższej przerwie Ośrodek łódzki znów partycypuje w realizacji teatru TV!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

PUSTYNIA TATARÓW

Pierwszym z brzegu fałszywym tropem, który wiedzie przez „Pustynię Tatarów" jest olśniewająca obsada aktorska. Oto w jednym filmie spotykają się męscy protagoniści europejskiego aktorstwa filmowego: Jasques Perrin, Michel Piccoli, Laurent Terzieff, Max von Sydow, Jean-Louis Trintignant... Taka konstelacja podnieca ciekawość, bowiem nie uprzedzonemu widzowi sugeruje sensacyjną superprodukcję przygodową w męskim stylu, coś w rodzaju „Tylko dla orłów" czy „Wielkiej ucieczki", a więc mrożące krew w żyłach bestsellery, w których wyspecjalizowała się kinematografia amerykańska. Tymczasem — nic z tych rzeczy. To tylko jeden z licznych pozorów tego dziwnego filmu, którego dramaturgia i problem polegają na rozwiewaniu złudzeń. Mierzona gatunkowymi kryteriami filmu sensacyjnego „Pustynia Tatarów" przynosi amatorom „męskiego kina" okrutne rozczarowanie (na seansie w kinie „Polonia" jeden z nich chrapał obok mnie miarowo). Używając superprodukcyjnych nakładów — wyrażających się nie tylko w aktorstwie, ale także w kostiumach, scenografii i w rozmiarach czasowych spektaklu — reżyser Valerio Zurlini stworzył film jak gdyby na przekór temu wszystkiemu, czym żyje kino współczesne. Brak tu bowiem dramatycznej akcji, ostrego konfliktu psychologicznego, krytyki społecznej, moralnej czy politycznej, które ułatwiałyby oswojenie opowieści, która nam ten film opowiada.

A opowieść ta jest prosta i została dość wiernie przeniesiona z kart powieści Dino Buzzatiego ostatnio przełożonej na język polski. Nie zdradzę tajemnicy jeśli ją w skrócie przytoczę, bowiem wartość filmu nie w niej się wyczerpuje, chociaż prowokacyjna prostota tej fabuły i jej celowa monotonia tworzą rodzaj naczynia, w którym zawiera się niepokojący i właśnie tajemniczy sens utworu. Film ma charakter historyczny, lecz jego historyzm jest jakby zamierzenie niestaranny, bliżej nie zlokalizowany i ledwie zasugerowany. Rzecz dzieje się — jak można się domyślać w minionym stuleciu, w imperium, które przypomina nieco — znowu się domyślamy — monarchię austrowęgierską. Do twierdzy Bastiani broniącej północnych rubieży państwa przybywa, aby objąć pierwszą w życiu służbę młody porucznik Giovanni Drogo. Wchodzi w środowisko poddane ścisłym rygorom wojskowej hierarchii i służby. Niebawem Drogo zostanie wtajemniczony w zbiorową fascynację załogi twierdzy. Jest nią tonąca w mgłach, nie zmierzona wzrokiem, nieprzeniknione Pustynia Tatarów. Z niej powinny wyłonić się wrogie zastępy wojsk. Życie fortecy upływa na nieustannym oczekiwaniu na wroga, którego atak uzasadniłby rację jej istnienia. Pełen najlepszych chęci i ambicji młody oficer wkrótce zorientuje się w jałowym charakterze tutejszego życia i podejmuje energiczne starania o przeniesienie, lecz z czasem, niepostrzeżenie zaniecha tych wysiłków. W miarę upływu lat i w miarę opuszczania twierdzy przez kolejnych emerytowanych komendantów Drogo stopniowo awansuje, by wreszcie jako major stanąć na jej czele i doczekać się historycznej chwili: nadejścia Tatarów. Jednakże los okaże się dla niego okrutny — Drogo jest ciężko chory i musi opuścić fortecę Bastiani w tym samym momencie, kiedy pod jej murami straże dostrzegły nieprzyjacielskie wojska.

Ot, cała historia, długa, bo opowiada o całym życiu, ale jednocześnie uciążliwie nudna i monotonna i tak też została przez Zurliniego przedstawiona w ciągu blisko trzygodzinnego seansu. Film wypełniają powtarzające się sceny ćwiczeń, musztry, raportów, codzienny rytuał celebrowanych wspólnie posiłków w oficerskim kasynie, te same rozmowy i sytuacje, do których jedyne napięcie wnosi obserwacja pustynnych przestrzeni. A przecież trudno oprzeć się wrażeniu, że film ten mimo świadomie przez reżysera zastosowanej retardacji dramaturgicznej, spowolnienia, do granic wytrzymałości widza, a raczej dzięki temu właśnie osiąga rzadko spotykany na ekranie klimat emocjonalny składający się na odczucie głębokiej prawdy egzystencjalnej, jaką to dzieło stara się wyrazić.

Opis życia porucznika Drogo, opis życia fortecy Bastiani jest metaforą, której konstrukcja skłania do możliwie najszerszych, najbardziej uniwersalnych intepretacji. „Pustynię Tatarów" można potraktować jako rozpisany na sceny, obrazy, sytuacje traktat o iluzjach przypisanych do ludzkiego losu i o jego rzeczywistej beznadziejności. Porucznik Drogo rozpoczyna swoje dojrzałe życie, pełen nieokreślonej nadziei, która u progu życia towarzyszy każdemu człowiekowi. Jest to nadzieja trudna do nazwania, posiada bowiem wiele imion, lecz można ją sprowadzić do pragnienia wypełnienia życia poczuciem sensu i celu. Lecz życie powoli upływa trawione na czynnościach pozornych i jałowych, alienującym, a symboliczni Tatarzy nie nadchodzą, nadzieja nie spełnia się, a miast sensu narasta gorzkie poczucie egzystencjalnego absurdu. Los porucznika Drogo w fortecy Bastiani nieuchronnie podąża trajektorią wyznaczoną przez jego poprzedników. Kolejni komendanci sceptycznie przyjmują sygnały o pojawieniu się Tatarów, w istnienie których stopniowo przestali wierzyć. Oni już wiedzą, że pustynia jest pusta. Finałowa fata morgana, którą przeżywa gotująca się do upragnionej obrony forteca, to ostatnie, już przedśmiertne oszustwo, którego złośliwy los Giovanniemu Drogo nie oszczędził. Odchodzi w rozpaczliwym przekonaniu, że utracił ostatnią w życiu szansę autorealizacji, która była jeszcze jedną iluzją.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ZAPISKI KRONIKARZA

ZAMKNIĘTY KRĄG

Sezon rozpoczął się nam dobrze, bo zarówno „Zemsta" w Teatrze Nowym, jak i „Spisek koronacyjny" w Teatrze im. Jaracza, to realizacje ambitne i ważne, mające swój ciężar gatunkowy. Zarazem sezon rozpoczął się dość leniwie i fala premier w teatrach dramatycznych wzbierze dopiero w listopadzie, co stwarza wyborną wprost okazję do podtrzymania podjętego już uprzednio tematu, któremu na imię widowiska dla dzieci i młodzieży.

Dyrektorzy łódzkich scen — których tak gęsto cytowałem ostatnio — nie mają nic przeciwko samej idei grania również dla młodych widzów, nie bez racji zasłaniają się jednak kłopotami repertuarowymi, zwłaszcza jeżeli chodzi o sztuki dla dzieci starszych, takich, co to już z bajek wyrosły.

Sprawa jawi się tedy trudna, tyle, że ja znam już skądś ten przedziwny układ zamkniętego kręgu, w którym jeden czeka na drugiego. Teatry, iżby autorzy zechcieli napisać, autorzy, iżby teatry zechciały wystawić, albo przynajmniej dały znak tej swojej chęci. Tak dokładnie wyglądała gdzieś do 1965 roku sytuacja w teatrach muzycznych, które daremnie łabiedziły o jakiś kęs współczesnego polskiego repertuaru, dając prapremierowe realizacje z częstotliwością jednej na lat parę i to w skali całego kraju. I wtedy właśnie pewna uparta pani, Danuta Baduszkowa, objęła Teatr Muzyczny w Gdyni i postanowiła ten repertuar dla siebie zdobyć metodą najprostszą: zamawiała i przyrzekała prapremierę.

Oczywiście potknęła się nie raz, a dobrych kilkanaście razy, ale też pielgrzymowali do Gdyni autorzy i kompozytorzy z całego kraju, z Łodzi również. Jednym wyszło lepiej, innym gorzej, jednak przynajmniej parę pozycji udało się całkiem dobrze i obiegło potem sceny całego kraju. Za Baduszkową — lekko być może, zawstydzeni — poszli natychmiast inni. „Janosik — czyli na szkle malowane" Ernesta Brylla z muzyką Katarzyny Gaertner, zaczął swój sceniczny żywot na scenie wrocławskiej operetki, aby potem dopiero trafić na sceny dramatyczne, parę udanych prapremier zapisał na swoim koncie łódzki Teatr Muzyczny, coś dorzuciła Warszawa, coś innego Katowice i tak zebrał się repertuar nie do końca może świetny, ale przecież realnie istniejący i co ważniejsze własny.

Baduszkowa zrobiła coś więcej: w swoim ciasnym, wiecznie przepełnionym teatrzyku przy ulicy Bema pod oficjalnym — bo zweryfikowanym przez władze — szyldem Sceny Młodego Widza od paru już lat konsekwentnie wystawia muzyczne i baletowe widowiska przeznaczone dla dzieci. Najczęściej ryzykuje prapremiery, znów zamawia, znów szuka autorów, ale z tego zamawiania i szukania jeżeli nie dziś, to za rok czy dwa coś musi się przecież wykluć.

I to jest — moim skromnym zdaniem — droga jedyna bo w wszelkiego typu zacznie pomyślane konkursy niezbyt jakoś wierzę, choć oczywiście inicjatywy tego typu zaszkodzić sprawie nie mogą.

Zarazem zastrzec się tu trzeba, iż partnerstwo TEATR — AUTOR musi, iżby zaowocowało, być partnerstwem zupełnym. W słusznej skądinąd trosce o wypełnienie ordynarnej tandety, co przynajmniej na scenach muzycznych niekiedy się w przeszłości zdarzało, Ministerstwo Kultury i Sztuki stara się kontrolować repertuar, powołując rozmaitego typu komisje recenzentów, słowem cały aparat oceny. Kółka się kręcą aparat działa sprawnie, znam jednak autorów mających znakomite wprost recenzje, a nikt ich sztuk wystawiać nie chce i chodzą teraz zawiedzeni. Znam innych którzy przemknęli się jakoś boczkiem, a byli grani i to nawet z sukcesem. Rzecz zaś w tym, że tylko teatr wie jakimi środkami jaka obsada, jakim chwytem inscenizacyjnym dany tekst będzie chciał rozegrać zaś recenzent — choćby najrozsądniejszy — może się tego jedynie domyślać.

Dlatego — po jakiejś wstępnej ocenie — ciężar ryzyka winien chyba być przeniesiony do teatru, niechże teatr narzuca autorowi poprawki i zmiany, niechże teatr ma pełne prawo powiedzieć, że podejmuje się realizacji niedoskonałego może formalnie, ale z tych czy innych przyczyn interesującego scenicznie tekstu-scenariusza. Droga na scenę zaczyna się bowiem wydłużać, miast skracać, a przykład Baduszkowej, która o swoich autorów wręcz walczy jest niestety niemalże odosobniony.

I choć wszyscy chodzimy bardzo z siebie zadowoleni, repertuaru dla dzieci i młodzieży jak nie było, tak nie ma.

JERZY PANASEWICZ

HISTORIA PEWNEJ MIŁOŚCI

LESZEK PŁAŻEWSKI

Lidka zrobiła wielkie oczy.

— No, wyjmij — powiada. — Nie bądź taki uparty. Bo naprawdę pognieciesz to sobie, a po co masz pognieść.

— Kiedy nie mogę — tłumaczę jej krótko.

— Dlaczego nie możesz? Bo co to jest takiego znowu, tajne dokumenty?

— No, nie — mówię cofając się — nic takiego ważnego, ale nie mogę.

— Tam nie możesz, bzdury — powiada nagle Lidka i sama wyciąga mi ten wniosek, który dostałem z Rady Zakładowej dla Haliny, czyli swojej przyszłej małżonki.

Wtenczas zbladłem. Chciałem z powrotem Lidce wyszarpnąć, ale ona odsunęła się ode mnie o spory krok i zaczęła półgłosem czytać. Zrobiło mi się bardzo głupio, na czole poczułem występujące kropelki potu. Tymczasem Lidka spojrzała na mnie podnosząc swoje ciemne brwi i powiada:

— To ty o mieszkanie się starasz. Masz nawet przy sobie wniosek. I taką mnie mowę o mieszkaniach chyba specjalnie zasuwałeś.

— Skąd znowu — mówię. — Na razie nic nie wiem, czy dostanę. To jest bardzo skomplikowana sprawa.

Lidka przełknęła ślinę.

— A o jakie się starasz — przypiera mnie do muru — o takie zwyczajne, czy o takie nowoczesne ze wszystkimi wygodami.

— No, o takie nowoczesne — mówię szczerze. — W takim zwykłym ze starego budownictwa mieszkaniu, to się już sporo ładnych lat namordowałem.

— To znaczy kim ty jesteś — pyta mnie z wielkim zainteresowaniem się moją osobą. — Bo sam nadmieniałeś...

— Tak po prawdzie — mówię — to na razie zwykłym pracownikiem w zakładzie pracy, ale niedługo mają mnie przenieść na ślusarnię.

— Rozumiem — powiada Lidka. — Będziesz miał przynajmniej porządny fach.

I zaraz zwraca się do tamtych naszych przyjaciół dzisiejszego wieczoru siedzących znów na tapczaniku.

— Popatrzcie, to on stara się o mieszkanie. O nowe mieszkanie. Popatrzcie.

Ale tamci tylko na chwilę odsunęli od siebie przytulone twarze i przelotnie spojrzeli na nas zamglonymi oczami. Dopiero kiedy Lidka po raz drugi to samo powtórzyła, mój kumpel potrząsnął głową i zainteresował się bardziej sprawą.

— To gratuluję ci, Zdzisiek — powiada — tego mieszkania, które masz otrzymać.

— Ale jeszcze nie wiem na pewno czy dostanę — mówię biorąc od Lidki wniosek. — Bo to nie jest taka całkiem prosta sprawa...

— To znaczy — pyta mnie Lidka — na czym ta komplikacja polega?

— Widzisz — mówię — to tak od razu nie da się powiedzieć, ale jakbyś zechciała to moglibyśmy się za jakieś dwa dni umówić, to już będziemy się dłużej znać i wtenczas wszystko ci dokładnie wyjaśnię.

— No, dobra — zgadza się Lidka — możemy się umówić koło tego domu, gdzie obecnie się znajdujemy, na ten przykład o godzinie siedemnastej.

Tak więc ustaliliśmy dzień naszego spotkania, jeszcze trochę tam posiedziałem na tapczaniku, wypiliśmy do końca wino z obydwu butelek i poszedłem do swojego domu. Ale po tym wszystkim nie za dobrze się czułem.

Tak samo rano. Idąc do roboty nie wiedziałem co o tym wczorajszym dniu myśleć. Mimo że Halina nie wyszła na spotkanie, to wolałbym Halinę jako swoją przyszłą małżonkę, z którą miałbym dzielić radości i troski pod jednym dachem. Nawet jeśli Lidka miała lepszy charakter i bardziej gorące serce w stosunku do mnie. Tylko na Halinę nie mogłem już za bardzo liczyć Z taką nabitą głową wsiadłem do autobusu.

Ci zgromadzeni w tyle wozu, znajomi z hali produkcyjnej zaczęli wyraźnie ze mnie pokpiwać, gdzie zgubiłem swoją poranną pannę, i różne takie rzeczy wygadywać. Ale nie wdawałem się z nimi w żadną rozmowę. Stałem patrząc w okna wozu i myślałem nad swoim szczęściem i nieszczęściem. Co odpowiedzieć tym obywatelom z Rady Zakładowej, tym jakby nie było poważnym osobnikom. Lidka czy Halina?

Ale to jeszcze nie całość sprawy. Kiedy stanąłem w hali przy swoim wózku elektrycznym uśmiechnęła się do mnie magazynierka Elżbieta Stokłos, niebrzydka panienka z jasnymi włosami i pieprzykiem na lewym policzku. A potem podeszła do mnie, żebym ją z łaski swojej poczęstował papierosem. Więc poczęstowałem, ona tymczasem zaczęła mnie zagadywać o tym i tamtym, wyraźnie chcąc nawiązać jakąś dłuższą osobistą pogaduszkę. Jednak ani pogaduszki mi w głowie nie były, ani o trzeciej kobiecie na poważnie nie chciałem myśleć. Nic jej ciekawego nie powiedziałem, tylko wskazałem rozmyślnie ręką na pracujących przy maszynach ludzi, i odszedłem do swojego wózka.

Pozwoziłem z magazynu na halę produkcyjną półfabrykaty, a z hali na plac powywoziłem złom żeliwny i inne odpady. W ten sposób czas zleciał mi do przerwy śniadaniowej, podczas której poszedłem z jednym starszym ślusarzem, niejakim Sikorskim Kazimierzem posiedzieć za skrzynki. Tam właśnie zwierzyłem mu się ze swoich kłopotów osobistych.

— No, a która lepsza? — on z kolei mnie pyta przełykając chleb z boczkiem.

— Wie pan — mówię z zastanowieniem — jedna jest ładna w swoim guście, a druga w swoim.

On popatrzył na mnie, zwęził swoje małe piwne oczka, wokół których utworzyło się tysiące zmarszczek. Potem znów przegryzł chleb i popił kawę z butelki.

— A z którą ci łatwiej poszło — mówi. — To bierz tą, z którą trudniej. Zawsze tą.

— Na razie to mi z żadną nie poszło — mówię. — Za mało tą drugą znam, a do tej pierwszej, znaczy się do Haliny, to jakoś nie mam dostępu.

— Tam, takie rzeczy gadasz — oburza się krztusząc — takie rzeczy. Jakbyś chciał tobyś zawsze dostęp znalazł. Co to tak trudno... Bo babę to trzeba wprzód dobrze poznać, i jeszcze raz poznać. Ale powiem ci jeszcze jedno, nawet kiedy ją najlepiej poznasz, to i tak nic nie będziesz wiedział. Bo baba to jest zawsze baba.

To powiedziawszy dopił do końca kawę z butelki, otarł przetłuszczone ręce o spodnie kombinezonu i poszedł na halę. A ja w dalszym ciągu nic nie wiedziałem, chociaż słowa ślusarza Sikorskiego mocno mnie zastanowiły. Do samego fajrantu chodziłem tak jakbym coś niestrawnego zjadł.

Tym niemniej zaraz po pracy karta się odwróciła. Kiedy wysiadłem z autobusu zobaczyłem Halinę. Czekała na mnie ubrana jak zwykle elegancko, w swoim granatowym płaszczyku ze złotymi guzikami. Ślicznie wyglądała w tym płaszczyku. Uśmiechnięta jakby wcale nie zrobiła mi przykrego kawału, i to jeszcze jak przykrego.

— Bardzo cię przepraszam — mówi od razu — że wczoraj mnie nie było.

Na razie nic nie odpowiedziałem. Ale po jej słowach serce ze złości mi odtajało. Czekałem co więcej powie.

— Bardzo cię przepraszam — mówi dalej. — Chociaż ci sama wyznaczyłam spotkanie, a tak samo wyznaczyłam ci godzinę i miejsce, ale nie mogłam być, bo do śmierci zapomniałam, że umówiłam się z koleżanką, która...

Popatrzyłem na nią i pokiwałem głową.

— To nieładnie z twojej strony, że koleżanka ma u ciebie większe znaczenie niż ja, i wszystkie sprawy, co mamy je pozałatwiać.

— Wiem, mój drogi — powiada tak miło jak nigdy. — Wiem, mój drogi, że postąpiłam lekkomyślnie. Ale ty bynajmniej nie powinieneś się na mnie gniewać. Bo nie wiesz o czym rozmawiałyśmy, a znów dziś, żeby z tobą się zobaczyć musiałam się zwolnić z pracy.

— No, ja na ciebie się nie gniewam — mówię otumaniony zupełnie tym, że ją niespodziewanie spotkałem. — Tyko chciałem jeszcze raz cię, Halu zapytać, czy ty o wszystkim mylisz poważnie, bo widzisz, ja jestem młody mężczyzna, na którego kobiety też zerkają. A kiedy jestem sam myślą, żem wolny osobnik i zarzucają jak umieją na mnie swoje sieci. Ale nie chciałbym o tym mówić.

— Wiem, wiem, że tak jest — przerywa mi Halina — ale i ty zechciej mnie wysłuchać.

— Dobrze — mówię — powiedz swoje.

I wtenczas jakiś facet o pół głowy wyższy ode mnie, z długimi baczkami i z poskręcanymi karbówkami włosami położył jej rękę na ramieniu. Nie spodobał mi się ten rodzaj zaczepki, krew we mnie z miejsca zakipiała. Ale Halina jak gdyby nigdy nic powiedziała do mnie: „przepraszam na chwileczkę", i odeszła z nim na bok chodnika. Zrobiło mi się nieprzyjemnie przed oczami. Oni tymczasem dobrych kilka chwil szeptali między sobą, spierali się, i znów szeptali. Spoglądałem na to z zaciśniętymi zębami, aż w końcu z tych nerwów zapaliłem papierosa. Dopiero po jakimś dobrym kwadransie czasu Halina przyszła do mnie z powrotem, i powiada:

— Nie gniewaj się, to kolega.

— Ja się nie gniewam — mówię — ale tego wszystkiego mam dość. To ja mam dla ciebie wniosek z Rady Zakładowej jako dla swojej przyszłej małżonki, a ty mnie takie rzeczy wyrabiasz.

Słysząc to Halina zamrugała oczami.

— Nie jesteś chyba — powiada — o takiego kolegę zazdrosny. Chyba mu się dobrze nie przyjrzałeś jak on wygląda.

— No, nie jestem zazdrosny — mówię — ale o to się nie rozchódzi. Tu jest sprawa poważniejsza, musimy jak najszybciej w cywilniaku złożyć papiery.

Na te słowa Halina klasnęła swoimi drobnymi dłońmi.

— No widzisz nie wiesz o czym rozmawialiśmy a tak się rzucasz.

— To o tym z nim rozmawiałaś. Z tym kędzierzawym nygusiakiem — patrzę na nią podejrzliwie, aż Halina się zaśmiała.

— Nie, nie z nim. Skąd znowu. Ale z tą koleżanką wczoraj. Musimy właśnie dziś pojechać i załatwić te formalności. Tak będzie najlepiej.

— Naprawdę Halu.

— No tak — mówi ona. — Dziś w godzinach popołudniowych tam przyjmują. Potem na oficjalne zawarcie związku małżeńskiego trzeba poczekać coś około miesiąca. Pojedziemy dziś.

— To ja pójdę tymczasem przebrać się w garnitur.

— Po co — powiada Halina. — Szkoda czasu, a to tylko na razie zwykła formalność.

Trochę nie w smak mi było, że pójdę w zwykłym ubraniu do urzędu, bo wszystkie sprawy lubiłem załatwiać odpowiednio ubrany. Biała koszula, krawat, garnitur. Wtenczas inaczej ludzie patrzą na człowieka. Nawet idąc do kina przebierałem się w garnitur. Tym razem zgodziłem się na propozycję Haliny, bo szkoda mi było każdego dnia i każdej godziny. Ale z drugiej strony odczuwałem tak jakbym o czymś zapomniał. Najbardziej to odczuwałem jadąc już autobusem do Dzielnicowej Rady Narodowej. W głowie mi wirowało. Nic nie mogłem sobie przypomnieć.

W poczekalni przed drzwiami Urzędu Stanu Cywilnego czekały trzy pary. Usiedliśmy na wolnych krzesełkach za nimi. Po pewnym czasie z tego pokoju wyszedł kierownik, mały i gruby, którego nazywano biskupem. Podałem mu nasze nazwiska, i on z powrotem wszedł do swojego pokoju. Halina w tym czasie czytała sobie gazetę, a ja spoglądałem na nią spod oka i myślałem — jakie to życie nad wyraz ciekawe i zaskakujące. Jakbyś nawet nie wiem jak myślał to życia nie wymyślisz, choćbyś głowę miał wielką jak koń.

Niedługo kierownik wywołał nas do swego pokoju. Urzędniczce siedzącej przy błyszczącym biurku podaliśmy nasze dowody osobiste oraz wszelkie dane o sobie i naszych rodzicach. Ustaliliśmy też datę zawarcia związku małżeńskiego, to znaczy za miesiąc, w sobotę. Urzędniczka wypisała nam zaświadczenie, że mamy się pobrać we wskazanym terminie, to zaświadczenie schowałem sobie do portfela, aby potem przedłożyć w Radzie Zakładowej. A kierownik — biskup znów od siebie życzył nam przyszłego dobrego pożycia podając rękę najpierw Halinie, a potem mnie. I zaraz po tej małej ceremonii wyszliśmy na ulicę.

Szliśmy sobie wolniutko, byłem tym szybkim załatwieniem sprawy okropnie przejęty, i jakby od razu innym człowiekiem się stałem. Kiedy zobaczyłem na wystawie meble, przystanąłem i pociągnąłem za rękaw Halinę.

— Niedługo — mówię — takie meble i my musimy sobie sprawić. Weźmiemy na raty.

— Moja koleżanka — powiada Halina — ta dyplomowana maszynistka, to ma takie na wysoki połysk, że można się w nich przejżeć jak w lustrze.

— I my sobie takie same sprawimy — mówię — jeszcze nawet lepsze.

Popatrzyliśmy trochę na te meble, pogadaliśmy trochę o wszystkim i udaliśmy się w powrotną drogę do naszych domów. Okropnie byłem głodny, ale idąc z Haliną nic jej o tym nie nadmieniałem.

Do naszego ślubu zostało więc najpierw cztery tygodnie, a niedługo było trzy tygodnie i mniej. W hali produkcyjnej, gdzie pracowałem na wózku w transporcie wewnętrznym, coraz więcej kobiet młodszych i starszych patrzyło na mnie łaskawszym okiem. Sam też byłem inny niż dawniej. Stawałem się poważniejszy i stateczniejszy. Nie szedłem już na ten przykład w soboty czy inny dzień po wypłacie na skwerek, aby wypić ćwiartkę albo wino. Wolałem sobie te pieniądze odłożyć i zużytkować na inny pożyteczniejszy cel. Mało to człowiek później będzie miał różnych potrzeb.

Tylko w jednej sprawie nie mogłem dać sobie rady, z tą właśnie magazynierką Elżbietą, jasną blondynką z pieprzykiem na lewym policzku. Ciągle mnie zaczepiała, to raz prosząc ognia, to znów papierosa. Albo, żebym ją podwiózł wózkiem z jednego końca hali w drugi. Nie miałem pojęcia o co jej chodziło, bo przecież moje papiery były już złożone w Cywilniaku. Nawet jej o tym w delikatny sposób nadmieniłem, ale ona tylko wzruszyła ramieniem, i powiedziała mnie na jakiś kawał, ale ja wcale Potem zaczęła się śmiać jakby nabrała mnie na jakiś kawał, ale ja wcale nie miałem pewności czy to był z jej strony kawał.

Z Haliną widywaliśmy się dwa, albo trzy razy w tygodniu. Przeważnie na placyku, po drugiej stronie naszego osiedlowego kina, gdzie było nadzwyczaj spokojnie i mało kręciło się ludzi. Nasze spotkania upływały w serdecznej atmosferze polegającej przeważnie na spacerach i rozmowach. Do sprzeczek między nami nigdy nie dochodziło.

Któregoś z kolei dnia dzięki uprzednim namowom Haliny, poszedłem do jej rodziców, aby ich osobiście zapoznać. Nie założyłem już swojego najlepszego garnituru, tylko ten trochę gorszy, ale też świąteczny, bo najlepszy garnitur oszczędzałem na uroczyste chwile zawarcia związku małżeńskiego.

Przed drzwiami mieszkania rodziców Haliny przystanąłem, poprawiłem włosy i krawat, i dopiero delikatnie zapukałem. Ktoś mi odpowiedział „proszę", więc wszedłem z bijącym sercem do domu swej przyszłej małżonki.

Rodzina jej była zgromadzona w kuchni, do której wchodziło się wprost z korytarza. Wszyscy znajdowali się w komplecie. Matka siedziała przy stole i cerowała sobie wełnianą pończochę, ojciec leżał na tapczanie, a starsza siostra, ta co kiedyś żyła z jakimś osobnikiem stała przy kaflowej kuchence, skąd rozchodził się przyjemny zapach kapuśniaku na mięsie.

Halina spojrzawszy na mnie uśmiechnęła się słodko i zwróciła się do rodziców.

— To właśnie ten gość — mówi — co wam mówiłam i co... — W tym momencie się zająknęła. — A to moi rodzice oraz siostra.

cdn.

EX·LIBRIS ODGŁOSOW

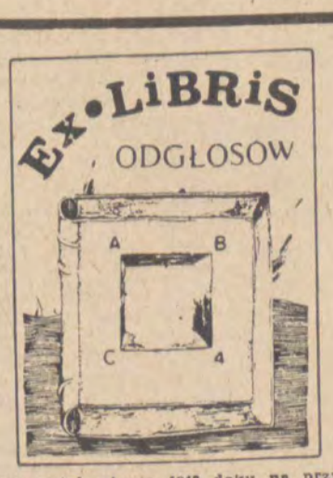

BRYGADA

Powołana do życia na północnym Mazowszu Brygada AL „Synowie Ziemi Mazowieckiej" zasięgiem swojej działalności obejmowała również południowe tereny ówczesnych Prus Wschodnich, a grupy zwiadowcze jej Batalionu Myszynieckiego dokonywały rajdów aż po mury osławionego „Wilczego Szańca" — głównej kwatery Hitlera. Przewodnikiem owych wypraw był Zenon Strześniewski — autor książki „W Brygadzie Mazowieckiej", wydanej przez MON.

Strześniewski wywieziony został wiosną 1943 roku na przymusowe roboty w rejon Kętrzyna, poznał ów „specjalny obiekt" dość dokładnie. Po ryzykownej ucieczce autor nawiązał kontakt z podziemnym ruchem oporu w rodzinnej wsi Zostaje żołnierzem Gwardii Ludowej. Pełni kolejno funkcje dowódcy grupy rejonu, plutonu, a pod koniec roku 1944 zostaje oficerem operacyjnym w Batalionie AL im. Ziemi Płockiej.

Wspomnienia Zenona Strześniewskiego to dokument ukazujący różnorodne formy i metody walki konspiracyjnej i partyzanckiej oraz prezentujący liczne sylwetki przywódców i szeregowych żołnierzy Znajdziemy tu także barwne i dramatyczne opisy przeżyć, zmagań, niepokojów i nadziei tamtych lat.

Zenon Strześniewski, „W Brygadzie Mazowieckiej", Wyd. MON, cena zł 24.

AFRYKAŃSKIE SPOTKANIA

Eugeniusz Andrzej Daszkowski, dziś kapitan żeglugi wielkiej, zaczął swoją służbę na morzu już jako kilkunastoletni chłopiec. Potem przeszedł przez wszystkie szczeble marynarskiego wtajemniczenia, aby dziś zasiąść na stolcu rektora Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie.

„Afrykańskie spotkania" są trzecią już książką kapitana — rektora. Uprzednio opublikował „Wachtę" i „Marynarski widnokrąg", natomiast sygnalizowana dziś książka jest efektem rejsów do Afryki Zachodniej. Jest w tej publikacji wiele trafnych obserwacji na temat tego nowego rejonu penetracji polskiej marynarki handlowej, jest wiele nie znanych faktów i informacji oraz sporo refleksji na temat trudnego zawodu marynarza. Książka ciekawa i pouczająca.

Eugeniusz A. Daszkowski, „Arfykańskie spotkania", Wyd. Poznańskie, cena 27 zł.

LECHICI ZNAD TEREKU

W 1668 roku Bogdan Gurdzie-Gruzin był dyplomatą polskim. Król Jan Kazimierz powierzył mu m. in. misję dyplomatyczną w Turcji. Po jej zakończeniu Gurdzie (rodowe nazwisko Amilachwari) bawił krótko w Tbilisi. Wracając do „Kraju Lechii" wiózł list gruzińskiego władcy Wachtanga V do Jana Kazimierza. A więc Gruzini nazywali nas niegdyś Lechitami.

W pierwszej połowie XVII wieku pisał o Lechach w utworze „Siedem gwiazd" poeta gruziński Donar Ciciszwili. Inny XVIII-wieczny poeta i podróżnik gruziński Jon Gedewaniszwili zostawił zapis: „Doszliśmy do kraju Lechów, którym jest Polonia". Docierali do nas w różnych wiekach Gruzini i my docieraliśmy do tego ciekawego, górzystego kraju.

Właśnie tym wzajemnym kontaktom w różnych dziedzinach poświęca swą książeczkę Ryszard Badowski, który w poszukiwaniu polskich śladów przemierzył Gruzję wzdłuż i wszerz. „Zboczyłem kiedyś do Berlsache... Zatrzymałem się w wiosce Czargali, gdzie spędził większą część życia wybitny gruziński poeta XIX wieku, Waża Pszawela... W domku poety przekształconym w muzeum znalazłem przesyłkę z... Warszawy. Były to nowele Waży Pszaweli przetłumaczone na język polski przez Jerzego Brauna, pierwszego Polaka, który na Uniwersytecie Tbilisim uzyskał doktorat języka gruzińskiego. Dawne kontakty polsko-gruzińskie wzbogaciły się o nowe treści.

Ryszard Badowski, „Lechici znad Tereku", KAW, cena 26 zł.

NIEWIDZIALNY FRONT

Na całym terytorium Łotwy przez ponad trzy lata — od lipca 1941 do jesieni 1944 — prowadzona była nieprzejednana walka z faszystowskim wrogiem. Uczestniczyło w niej około 130 tysięcy ludzi pracy Łotwy, którzy pod kierownictwem Komunistycznej Partii Łotwy podważali militarną, ekonomiczną i polityczną siłę wroga.

Stosunkowo mało naświetlony jest, jak dotychczas, fakt udziału w tej walce narodu łotewskiego także 70-tysięcznej rzeszy Polaków, obywateli Łotewskiej SSR. Książka Janusza Dzintarza, która powstała w wyniku wieloletnich studiów, przedstawia polskiemu czytelnikowi wiele wydarzeń dotychczas nie znanych.

Oto jedna z takich spraw: „W sierpniu 1942 roku do mieszkania Odzelewiczów zgłosili się dwaj przybyli spoza linii frontu wywiadowcy którzy zaskoczonemu gospodarzowi przekazali wykopane na zapleczu radzieckim zdjęcie jego młodszej córki i jej list do ojca z prośbą o udzielenie wszelkiej możliwej pomocy doręczycielom zdjęcia" Tak rozpoczęła się współpraca Edwarda i Antoniny Odzelewiczów z radzieckimi skoczkami spadochronowymi. Ich mieszkanie przekształciło się w punkt konspiracyjny, a Edward Odzelewicz został przewodnikiem zawiadowców na terenie Rygi.

Janusz Dzintarz, „Niewidzialny front", Wyd. MON, cena 45 zł.

zdarzenia i zwierzenia

JESZCZE O EKSLIBRISIE

Kiedy niedawno napisałem o ekslibrisach, zareagowało dwu czytelników. Pan **Grzegorz Matuszak** — przyznaję, specjalista od znaków książkowych — napisał do redakcji, że nie można wartości zbiorów oceniać według ilości posiadanych egzemplarzy.

Pan Igor Sikirycki — znany pisarz — powiedział że ma parę tysięcy ekslibrisów, a nie został wymieniony wśród łódzkich kolekcjonerów.

Po pierwsze zatem — ma rację Grzegorz Matuszak. Ilość egzemplarzy o niczym — poza pasją zbieracką — nie świadczy. Ale o czym ja właściwie pisałem? O wartościach artystycznych czy o pasji zbierackiej? No, właśnie!

Po drugie zatem — nie jestem Duchem Świętym. Nie wiem, kto ile ma ekslibrisów; wymieniłem nazwiska zgodnie z katalogiem zbieraczy, opublikowanym w „Listach bibliofilskich", co zresztą zostało odnotowane na końcu publikacji.

Nie odezwał się tylko jeden zainteresowany czytelnik, który odezwać się powinien. A nie odezwał się dlatego, że mieszka daleko i „Odgłosy" nie dotarły do niego na czas. Myślę o **Wiktorze Borysowie**, tłumaczu polskiej literatury i opiekunie polskich pisarzy przyjeżdżających do Kraju Rad.

Wiktora Borysowa poznałem parę lat temu w Moskwie i z radością dowiedziałem się, że jest miłośnikiem i zbieraczem ekslibrisów. Wymieniliśmy wówczas swoje okazy i katalogi wystaw, których w Związku Radzieckim jest wiele i cieszą się ogromnym zainteresowaniem.

O tym ogromnym zainteresowaniu znakiem książkowym w Kraju Rad pisałem parę tygodni temu. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że właśnie Wiktor Borysow opracował dla polskiego wydawcy kolekcję ekslibrisów o tematyce leninowskiej. Ta niezwykle interesująca publikacja ukazała się nakładem Wydawnictw Artystycznych i Filmowych w ilości 1.000 egz., a więc jest to nakład bibliofilski. Zbiór zawiera sześćdziesiąt parę leninowskich ekslibrisów — od pieczątki „Oulianoff" aż po znaki książkowe grafika Wiaczesława Zwiericwa.

Pisze Wiktor Borysow: „Temat »Lenin — Październik — Rewolucja« znalazł bardzo duży oddźwięk w radzieckiej grafice a zwłaszcza w ekslibrisie. Z tego niezwykle szerokiego tematu czerpali natchnienie i czerpią w dalszym ciągu, najlepsi twórcy małej grafiki."

Pierwszy ekslibris z obrazem Lenina należał do jednego z najbardziej utalentowanych radzieckich grafików — **Pawła Szyllingowskiego.** Artysta wykonał go na zamówienie Biblioteki W.I. Lenina.

Wiktor Borysow przypomina także, że w katalogu książek biblioteki Lenina na Kremlu znajduja się trzy prace poświęcone ekslibrisom. Wniosek stąd, że Leninowi nieobca była problematyka „małej grafiki". Kolekcja „leninianów", zaprezentowana przez Borysowa, oparta jest na zbiorach znanego kolekcjonera moskiewskiego, Z. Ulmana oraz samego autora wyboru.

Wśród prezentowanych ekslibrisów sporo poświęconych jest miejscom pobytu Lenina. Do jednych z najlepszych należy zaliczyć ekslibrisy wykonane przez **Jewgienija Goliachowskiego, Anatola Kałasznikowa i Gierszona Krawcowa.** Radzieccy graficy szczególną uwagę zwracają na tematycznie blisko związane z obrazem Lenina wydarzenia Wielkiej Rewolucji Październikowej. Temat ten znalazł odbicie w pracach wielu znakomitych twórców ekslibrisu a w szczególności w grafice łotewskiego artysty, **Aleksieja Jupatowa.**

Oczywiście, Wiktor Borysow był w stanie zaprezentować nam w swoim wyborze tylko cząstkę ogromnego tematu radzieckich ekslibrisów. W publikacji wydawnictwa **„Sowietskaja Rosija", pt. „500 ekslibrisów"** znajdziemy także piękne prace o leninowskiej tematyce grafików — **Gidoni czy Krawcowa,** które nie zmieściły się w wyborze Borysowa. Ale to nic dziwnego — pełna kolekcja ekslibrisowych „leninianów" zawiera przecież tysiące prac. Skromny wybór Borysowa, przedstawiony polskim zbieraczom, jest jednak bardzo reprezentatywny dla dokonań radzieckich artystów.

Na koniec refleksja natury ogólniejszej. W Kraju Rad publikacje na temat ekslibrisu ukazują się zarówno nakładem Moskiewskiego Klubu Ekslibrisu, jak i wydawnictw „Kniga" czy „Sowietskaja Rosija". U nas — niestety — na palcach jednej ręki można policzyć albumy poświęcone tej tematyce. Miejmy przeto nadzieję, że radziecki pisarz i kolekcjoner, Wiktor Borysow, zrobił w tym względzie jakiś początek i oczekujemy od Wydawnictw Artystycznych i Filmowych dalszych edycji na temat ekslibrisu. A może prężna i pełna nowych inicjatyw Krajowa Agencja Wydawnicza zainteresuje się „małą grafiką". Myślę, że warto — tysiąc egzemplarzy ekslibrisów leninowskich zostało sprzedanych w ciągu paru dni i już dziś jest przedmiotem zainteresowania na giełdach kolekcjonerów.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

JERZY WAWRZAK

Nie zginie.
Ma LINIĘ.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

ROZERWIJ MNIE!

Mój przyjaciel chciał dobrze i postanowił rozerwać swoich znajomych, którzy byli akurat zapracowani i należał się im jakiś odpoczynek. Zaprosił więc ich do kina. — Co grają? — zapytali znajomi. — Dokładnie nie wiem, ale to nazywa się „Stracency" — odpowiedział mój przyjaciel. Po wyjściu z kina znajomi długo nie odzywali się do mego przyjaciela. Pożegnali się raczej chłodno. A później dowiedziałem się, że następnego dnia powiedzieli: — Ale nas rozerwał. Całą noc śniły się nam koszmary.

Nie od dziś wiadomo, że dobrymi intencjami piekło wybrukowano, choć intencje też się czasem liczą jako okoliczności łagodzące. Nie wątpię więc, że ludzie zajmujący się rozrywaniem nas mają najlepsze intencje. Co jednak z tego wynika, to już inna sprawa. A wynika na ogół niezadowolenie. Przyznam się, że nie pamiętam, kiedy śmiałem się serdecznie, beztrosko, całą — jak to się mówi — gębą. A śmiech to zdrowie. I — jak twierdzą lekarze — nie ma w tym przesady.

Niektórzy twierdzą, że wszelkie zło bierze się stąd, że na rozrywce, podobnie jak na sporcie, medycynie i ekonomice znają się wszyscy i wszyscy wiedzą, jak trzeba robić, żeby było dobrze. Ale nie wychodzi. A nie wychodzi właśnie dlatego, że wszyscy się znają, są mądrzy. Tylko, że z tych twierdzeń nic nie wynika. A raczej wręcz przeciwnie. Jest to znakomity kamuflarz. Niby wspaniały sposób usprawiedliwiania nieudolności, bezradności, czy czegoś tam jeszcze, tylko, że ludzie już zmądrzeli i nabrać się na to nie dają.

Myślę, że nieporozumienie w tym wypadku polega na tym, że znać się na rozrywce, sporcie czy ekonomii powinni tylko ci, którzy się tym zajmują. Ich działalność musi się sprawdzać w praktyce, czyli znajdować aprobatę widzów. Gdyby było inaczej, to na przykład do sal widowiskowych lub na boiska sportowe wpuszczano by ludzi za okazaniem dyplomu odpowiedniej uczelni. A wystarczy kupić bilet. Gdyby było inaczej, to działalność ekonomiczna dotyczyłaby tylko absolwentów uczelni ekonomicznej, którzy się na tym muszą znać, a przecież musi sprawdzać się w społecznej praktyce. Jeśli nie sprawdza się, to złych ekonomistów nie uratują dyplomy najsłynniejszych uczelni i kilka doktoratów honoris causa.

Rozrywka stała się dziś dziedziną szeroką i wymagającą działania specjalistów. Nie wystarczy znaleźć trzy zgrabne dziewczyny i kazać im rozbierać się w rytm muzyki lub fikać gołymi nogami do rytmu. Nie wystarczy dać w rękę mikrofon komuś, kto śpiewając nie fałszuje. Nie wystarczy też wygłup. O coś w tym wszystkim musi chodzić. Składanki dawno się już przeżyły. A pojęcie rozrywki znacznie się rozszerzyło. Proszę spojrzeć tylko, kto dziś nie zajmuje się rozrywką. Właściwie każdy może, jeśli tylko chce.

I dlatego rację ma Andrzej Jóźwiak, kiedy w wywiadzie dla „Życia Gospodarczego", na pytanie o wady estradowej struktury, odpowiada:

— „Wad jest kilka, główne z nich to dyletantyzm..."

Wypada więc tu powtórzyć to, co już napisałem. Nie chodzi o to, aby ludzie, do których adresowana jest działalność rozrywkowa znali się na tym, ale chodzi o to, aby znali się ci, którzy tym się zajmują, aby umieli trafić do odbiorcy, trafić w jego zainteresowania i potrzeby. A więc tym ludziom, którzy robią w rozrywce musi o coś chodzić, nie tylko o pieniądze. Fama głosi, że na rozrywce można dobrze zarobić, na piłce nożnej również. I rzekomo to ma być głównym powodem tego, że nie mamy ani dobrej piłki nożnej, ani dobrej rozrywki.

— „Więc jednak zmierzamy ku banknotom" — pyta w „Życiu Gospodarczym" Stefan Ancerewicz.

— „Raczej nie powinniśmy od nich uciekać" — odpowiada Andrzej Jóźwiak.

Niech sobie ludzie zarabiają, ale pod warunkiem, że za dobrą pracę mają dobrą płacę. A nie za chałtury. Jak do tej pory najbardziej popłaca chałturzenie.

Rozrywka jest pojęciem szerokim. Jest to worek, do którego wrzuca się wszystko, film, widowiska telewizyjne, satyrę, humor, sport nawet i jeden Bóg wie, co jeszcze. Odbiorca jest też różnorodny. Jeden lubi cyrk, inny regularnie słucha w III programie „60 minut na godzinę", a jeszcze inny lubi sobie pójść do knajpy i wypiwszy ćwiartkę (oby tylko), popatrzeć, jak się jedna pani rozbiera. Czy jest w tej różnorodności coś złego?

Wybrzydzacze kręcą nosem i wołają o wychowywanie widza, że niby trzeba dawać mu coraz ambitniejsze pozycje. Tylko zapominają, że wychowanie odbywa się nie tylko przez programy rozrywkowe, że działa tu cały zespół różnych czynników i ludzie są dziś znacznie mądrzejsi niż to się niektórym „mądrusiom" wydaje. Mając możliwość dokonywania wyboru, muszą z czegoś rezygnować, a nie zawsze jest to proces jednoznaczny, nie zawsze spojrzenie biegnie tylko w stronę gołej dupy.

My na przykład nie mamy dobrej satyry. Niedawno słyszałem zachwyty nad satyrą radziecką. Jaką odważną, śmiałą. Dlaczego my takiej nie mamy? Nie wiem. Ale to chyba też temat do rozważeń dla tych, którzy powinni znać się na rozrywce, gdyż się tym zajmują.

MARCIN RODAK

lewym okiem

DZIEŃ BEZ GAZET

W maju bieżącego roku prasa doniosła o charakterystycznej wypowiedzi kanclerza Schmidta na łamach tygodnika „Die Zeit": kanclerz zaproponował, aby na jeden dzień w tygodniu unieruchomić telewizję i dać ludziom trochę czasu na zwyczajne, ludzkie kontakty, a zwłaszcza zwyczajną, ludzką rozmowę. Telewizja sprawia, że ludzie zapominają języka w gębie, nie umieją się porozumieć nawet z najbliższymi w rodzinnym gronie. Jest to temat uniwersalny i pewnie do niego wrócimy.

W Szwajcarii studenci i uczniowie szkół technicznych, a więc właśnie ci, których najtrudniej posądzać o technofobię, wystąpili z wnioskiem, aby w co drugą niedzielę nie kursowały na drogach samochody, na jeziorach motorówki, w powietrzu samoloty.

Goethowski uczeń czarnoksiężnika wołał przerażony: „Die Geister, die ich berufen, die werd'ich nimmer los!" Nie pozbędę się duchów, które sam przywołałem... Jakże niedawno każda działalność reklamowa i propagandowa była działalnością afirmatywną, zachęcającą, kuszącą. Dziś robimy co można, aby ludzi zniechęcić, powściągnąć, odwrócić. Mieliśmy setki „dni", poświęconych specjalnemu akcentowaniu szczególnych zjawisk, dóbr, przedmiotów. Teraz zaczęły się dni na „bez": dzień bez telewizji, dzień bez samochodu. Niezależnie od tego, czy pomysły takie mają szansę realizacji, nie możemy przecież nie dostrzec że stanowią one pierwsze symptomy przerażenia. Dokąd ucieknie uczeń czarnoksiężnika?

W Nowym Jorku stwierdzono, że niezmierna obfitość fal krótkich, emitowanych przez miliony aparatów radiowych i telewizyjnych, przez urządzenia kuchenne i gospodarcze, przez dziesiątki tysięcy kilometrów rozedrganych drutów, kabli, membran, motorów i Bóg wie czego — niszczą naturalny system obronny wszelkich żyjących organizmów, a przede wszystkim najczulszego z nich — organizmu człowieka. Zachowanie ludzi, ich reakcje psychiczne są już dziś — twierdzą uczeni — zdeformowane niewidzialną, arcysubtelną, a groźną orgią czegoś tak trudnego do pojęcia jak owe fale. Tylko patrzeć, jak padnie z jakiejś trybuny hasło: dzień bez fal krótkich!

Sanatorium w Szczawnie Zdroju leczyło przez dziesiątki lat astmatyków, narzekając tylko trochę na fakt zadymienia okolicy przez kopalnie Wałbrzycha. Dymy kopalniane ograniczały skuteczność kuracji. Ale mamy raport naukowców, z którego wynika, że rozbudowujące się ciągle sanatorium, jego łazienki, kotłownie, baseny i inhalatoria zanieczyszczają miejscową atmosferę w stopniu znacznie większym niż wszystkie wałbrzyskie kominy. I co dalej? Sanatorium zatruło samo siebie... Czy nie należałoby ogłosić dnia bez zabiegów — i dzień taki potraktować jako jeszcze jeden, skuteczniejszy od innych, zabieg dla sfatygowanych dróg oddechowych?

Kilka lat temu Anglicy nakręcili film o różnych zanieczyszczeniach atmosfery i nazwali go: „Powietrze — twój wróg..." Podobno był to film makabryczny i wstrząsowy bardziej niż amerykańskie dreszczowce z małpami, rekinami i wężami. Świat przestanie być dla nas miejscem wartym pobytu, kiedy o zwyczajny łyk powietrza, o każdą kroplę wody każe nam się zmagać w pocie czoła, i to w tak niebywałym ścisku, jaki zaczynamy już dziś odczuwać. Toż przepowiadają, że Kalkuta i miasto Meksyk będą za 50 lat liczyć po 40 milionów mieszkańców... Jaki dzień wymyślić — dzień bez kopulacji? Dzień bez zanieczyszczania wody? Dzień bez picia wody, bez oddychania, bez ruchu, pracy, jedzenia?...

Samo czytanie o tym wszystkim przyprawia o nerwice i stany depresyjne. Więc może jeszcze jeden dzień: dzień bez prasy?

Który też nic nie pomoże...

ĆWIEK

sport

JAK WULKAN

Z powiedzeniem: „jak wulkan" kojarzy się nam najczęściej temperament. Na przykład: „Wyspa jak wulkan gorąca". Albo, kiedy o kimś mówimy: „to istny wulkan", to myślimy o nim, że taki wybuchowy charakter. Tymczasem z wulkanami sprawa nie jest taka zupełnie prosta. Wulkan może setkami, a nawet tysiącami lat milczeć, nawet nie dymić i nagle obudzić się i wybuchnąć. Wulkan Stromboli na Morzu Śródziemnym jest chyba jedynym na świecie wulkanem o niebywale stałym charakterze. Od blisko 3 tysięcy lat nie przerwał swej działalności, stale dymi, strzela gazami, sypie popiołami, a tylko od czasu do czasu wyrzuci kawałki półskrzepłej lawy. Inne wulkany natomiast mają charaktery, że nie daj Boże.

A mimo, że z pojęciem „jak wulkan" kojarzy się wielki temperament, mnie z wulkanem kojarzy się nasza piłka nożna. Nie o temperament chodzi, a o typowo wulkaniczny żywot. Taki „typowy" wulkan — jak na przykład Wezuwiusz — dymi sobie spokojnie całymi latami i jak nagle nie grzmotnie, nie plunie, nie wybuchnie, to cały świat dowiaduje się o tym ze zdziwieniem i patrzy nań z podziwem. Coś podobnego dzieje się z naszą piłką nożną.

Od wielu lat polska piłka nożna drzemała sobie spokojnie, czasem zdarzyło się jakieś cudowne przebudzenie, ale na krótko. Wielkiej niespodzianki to nie zwiastowało. Dopiero w roku 1972, kiedy to nasi piłkarze pod wodzą Kazimierza Górskiego pojechali do Monachium na Olimpiadę, okazało się nagle i zupełnie niespodziewanie, że coś się w tym naszym piłkarskim wulkanie dzieje, że się obudził. Rezultatem tego przebudzenia był — jak wiemy — złoty medal. Kotłowało się w tym piłkarskim wulkanie nadal i w dwa lata później znów był medal, tym razem posrebrzany. I na tym się skończyło. Wulkan polskiej piłki nożnej znów zasnął. Na jak długo? Trudno to przewidzieć. Wulkany czasem potrafią spać tysiącleciami, a czasem ledwie kilka lat drzemią.

Z Rumunami podobno nam nigdy nie było łatwo wygrać, ale jako żywo ani w Bukareszcie, ani w Łodzi Rumuni nie pokazali tak wielkiej klasy, aby trzeba było kapelusze z podziwu zdejmować. Grali przeciętnie, a nasi piłkarze potrafili sobie tylko poradzić z drugą reprezentacją Rumunii. Jak to ktoś słusznie zauważył, naszym piłkarskim orłom nie leży gra prosto z ligowego marszu. Ano sprawa jest prosta i zwyczajna, o czym już kilka razy wspominałam, taką bowiem mamy reprezentacyjną piłkę nożną, jaką mamy ligę. Erupcja z początku lat siedemdziesiątych dowodzi tylko, że drzemią w niej talenty i możliwości niczym energia i ogień w wulkanie, ale kiedy się obudzi tego ani nie wiadomo, ani nie wiadomo, kto to zrobi. Próbował tego Jacek Gmoch, ale wiadomo jak to się skończyło. Ryszard Kulecza otrzymał spadek nie najlepszy. Być może jest to kara za to, że w czasie Mundialu 78 wyrażał się oględnie o argentyńskich wyczynach naszych piłkarzy, ale niezbyt pochlebnie.

Kibic jednak przywykły do wulkanicznej erupcji piłki nożnej nadal trwa w przekonaniu, że jeszcze coś się stanie że będzie cud i nasze orły znów pofruną wysoko. Kochani! Popatrzmy na to trzeźwo. Orłów nie ma. Dawno już odleciały. Wulkan drzemie. Z takim poziomemm piłki nożnej, jaki w tej chwili reprezentuje kadra polskich piłkarzy, nie wiem, czy uda się „przeskoczyć" Szwajcarów, a co dopiero drużyny NRD i Holandii. Może w następnych mistrzostwach świata lub Europy wulkan się obudzi. Może, ale nie musi. Z wulkanami bowiem nigdy nic nie wiadomo. Chyba, że coś się zmieni w lidze, ale nic na to jeszcze nie wskazuje.

BOGDA MADEJ

PS. W poprzednim felietonie „Przebrana miarka" z przyczyn technicznych wyleciał cały fragment, który zmienił sens tego felietonu. Na marginesie sprawy piłkarza Festuki — jak go określiła „Piłka nożna" — rozważałam sytuację w polskiej piłce. Pisałam o tym, że sprawy Festuki nie można właściwie rozpatrywać na żadnej z płaszczyzn, ani prawnej, ani moralnej, ani sportowej. I w tym miejscu właśnie następował fragment, w którym zwróciłam uwagę, że zakaz gry na Olimpiadzie obejmujący piłkarzy, którzy wzięli udział w Mundialu, czyni właściwie z nich piłkarzy zawodowych, że przykład Jana Tomaszewskiego, który w Belgii po podpisaniu kontraktu nabrał szacunku do trenera, że wreszcie wielu rozsądnych działaczy postuluje od dawna, żeby i u nas wprowadzić k o n t r a k t y.

Piszę o tym dlatego, że bez tego fragmentu mój felieton nabrał zupełnie innego sensu niż mu nadałam.

B.M.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 267[illegible]. Zam. 2259. I-10.